

W numerze: ZYGMUNT MIKULSKI — Aby szanse nie przeciekały przez palce, TADEUSZ BARTOSZ — Do Pińczowa na ryby, STANISŁAW PAGACZEWSKI — Co chciałem ukraść w Pradze?, TADEUSZ WIĄCEK — Most, JAN PAWEŁ GAWLIK — Szopka kielecka, MIROSLAW DERECKI — Lubelskie „Echo”, MARIA BEHCZYC-RUDNICKA — Blisko Brechta, JACEK — Jak tracić dziewictwo

# Kamena

LUBLIN BIALYSTOK KIELCE RZESZÓW

LUBLIN 3.III.1968 Nr 5 (386) R. XXXV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

## BIAŁA DAMA SZUKA TOWARZYSTWA

Romułd Wiśniewski

**O**KOLICA malownicza, po-falowana. Wzgórza, do-liny. W bok od lewego brzegu rzeki rozchodzą się głębokie wąwozy. No i ten zamek. Przewodnik podają, że wzniesił go w XVI wieku Tęczyński. W 1656 r. wojska szwedzkie dokonały pierwszych zniszczeń. Potem był odbudowywany, niszczone, znów odbudowywany, przebudowywany — ostatni raz w latach 20-tych bieżącego wieku. Mimo tych przeróbek czuje się tu historię. Piękna budowla. Rozglądając się ze wzgórza zamkowego po uroczej okolicy, aż się nie chce wierzyć, że znajdujemy się tak blisko Lublina. A jednak to prawda; z okien baszty widać wyraźnie północno-wschodnią część miasta. Kiedy to sobie uświadomimy, znów nie chce się wierzyć, że dopuszczono do kolejnej ruinacji obiektu oddalonego zaledwie o 1,5 km od granic Lublina.

Zamek w Jakubowicach Murawnych — o nim bowiem mowa — leży w zasięgu komunikacji miejskiej, nad Bystrzycą, niedaleko szosy łączącej Lublin z Łęczną. Każda wycieczka wyruszająca tą szosą nad jeziora Piaseczno, Rogoźno czy Zagłęboce, widzi basztę zamkową z okien samochodu. Lecz zagląda tu mało kto. W Lublinie nikt nie propaguje zamku w Jakubowicach Murawnych jako zabytku wartego obejrzenia.

Zamek udekorowany jest tablicą informującą, że jako zabytek pod-

lega całkowitej ochronie. Niestety, sama tablica nie wystarczy. W gorącym okresie powojennym rozkradziono dachy, drzwi i okna, futryny, a nawet stropy nad oboma piętami. Pozostały jedynie potężne mury, sklepienie nad parterem i kamienne schody. Dziesięć lat temu — jak opowiadał mi przewodniczący Prez. PRN w Lublinie, Bogdan Golan — komisja specjalistów od spraw budownictwa orzekła, iż dni zamku są policzone, gdyż grunt pod nim tak przemieścił się, że fundamenty pękają i mury nie utrzymają się dłużej niż rok — dwa. Tymczasem, mimo upływu czasu i niszczonego działania warunków atmosferycznych, ruiny zamku, choć dalej podupadły, przedstawiają wartość nie tylko historyczną. W październiku 1967 r. uczestnikom ogólnopolskiej sesji urbanistów i architektów na temat zagospodarowania turystycznego woj. lubelskiego przedstawiono referat mgr inż. Henryka Gawarciekiego „Adaptacja obiektów zabytkowych dla potrzeb turystyki i krajoznawstwa w woj. lubelskim”. Autor, inżynier budownictwa i znawca zabytków, pisze o jakubowickim zamku: *Duże możliwości odbudowy i adaptacji dla potrzeb turystycznych. Dlaczego zatem Jakubowice Murawne popadły w takie zaniedbanie i niszczenia dalej? Niechęć do odbudowy wynikała często z nieuwzględnienia uprzedzenia inwestorów, że rygory kon-*

(Ciąg dalszy na str. 6)

## 8 MARCA — DZIEŃ KOBIET



W Dniu Kobiet, zamiast „miłego” zdjęcia jednej czy kilku przedstawicielek piękniejszej połowy społeczeństwa, zamieszczamy reprodukcję obrazu Picassa „Malarz i model”. Model — jak widać — jest rodzaju żeńskiego. Kto chciał zobaczyć oryginał, mógł pojechać do Warszawy, gdzie eksponowana była twórczość malarska i graficzna (z lat 1963—65) wielkiego Pabla.

Paniom zaś redakcja „Kamena” (składająca się z samych mężczyzn) przesyła najlepsze życzenia.

Fot. D. M. Lomaczewska

## Przed maturą

NOWE DWUDZIESTOLECIE

Tadeusz Kłak

Zgodnie z zapowiedzią rozpoczęliśmy druk artykułów z cyklu „Przed maturą”, w którym chcemy dokonać przeglądu najważniejszych problemów współczesnej prozy i poezji. Traktujemy te publikacje nie jako powtórkę materiału szkolnego, ale jako inspirację dla własnych lektur i przemyśleń. Interesuje nas czy inicjatywa redakcji koresponduje z potrzebami młodych czytelników, czy sposób naświetlenia problematyki literackiej w artykułach prowadzi do wspomnianego wyżej celu. Oczekujemy więc na listy.

(Red.)

**G**DYBY się uważniej zastanowić nad pewnymi różnicami, jakie istnieją między poezją okresu międzywojennego a powojenną, dojdzie się do interesującego spostrzeżenia. O poezji lat 1918—1939 mówi się w kategoriach czasopism, kierunków i grup poetyckich, o poezji czasu Polski Ludowej — w kategoriach nazwisk. Poprzednio sygnały główne stanowił futurizm, awangarda, „Zwrotnica”, „Zagary”, a teraz Różewicz, Białoszewski, Herbert, Grochowiak. Dlaczego tak się sprawy ułożyły, to inna historia. Ale fakty mają się właśnie tak. Jedyny powojenny „izm”, to turpizm, termin negatywny zresztą i używany bez dostatecznej precyzji. Myślę, że Julian Przybysz wymyślił ten termin z dawnego przyzwyczajenia do tworenia nowych pojęć i z tęsknoty.

(Dokończenie na str. 7)

**Aby szanse nie przeciekały przez palce**

Zygmunt Mikulski

**W**OCENIE pracy kulturalno-oświatowej posługujemy się danymi rzeczowymi, które mają wytworzyć obraz adekwatny, obiektywny, sprawdzalny. Jest to słuszne, ponieważ w każdym działaniu jakieś orientujące ustalenia istnieć muszą. Wydaje mi się jednak, że niezależnie od małej wymierności samego zjawiska kultury (które to zjawisko rozgrywa się na płaszczyźnie świadomości, a nie faktów doświadczalnych) występuje tu trudność dodatkowa, którą sprawiają te właśnie dane rzeczowe, liczbowe, statystyczne. Zawierzamy ich obiektywności i rzetelności ona istnieje. Zapominamy jednak często o ich niepewności i niewystarczalności.

Na przykład. Dajmy na to, że chcemy uzyskać porównanie co do stopnia upowszechnienia kultury między powiatem Biała Podlaska a powiatem Kraśnik. Innymi słowy — interesuje nas, który „kulturalniejszy”. Musimy to uczynić w jakimś wyznaczniku. Niech tym wyznacznikiem będzie liczba uniwersytetów TWP. Cóż, kryterium chyba nie zdawkowe, procent ludzi zainteresowanych w kształceniu się jest chyba jakimś wyrazem kulturowych tendencji w danym środowisku. Ze statystyki wynika więc, że w roku oświatowym 1966/67 uniwersytetów TWP w Białej Podlaskiej było siedem, podczas gdy w Kraśniku 39. Wynikałby stąd wniosek prosty: przewaga drugiego, gdzie Białej do Kraśnika! Ale zaglądamy do innego zestawienia i cóż się okazuje — w tymże samym roku

oświatowym w Białej Podlaskiej wygłoszono odczytów 548, podczas gdy w Kraśniku — 222. To samo z liczbą słuchaczy: w Białej 28 455, w Kraśniku 13 308. A wystarczyło przecież nie zaglądnąć do drugiego zestawienia, by pozostać przy obrazie tej niebywalej kraśnickiej przewagi.

To samo w innym wypadku. Mówi się, że w naszym województwie średnia (na mieszkańca) na zakup książek wynosi 1,54 zł wobec przeciętnej krajowej 2,01 zł, co plasuje nas na piętnastym miejscu wśród województw. Ale za to zespołów oświatowych jest u nas 1422, podczas gdy w bydgoskim 774, białostockim 341, koszalińskim 230, szczecińskim 171. Tak więc nie bardzo wiadomo, czemu wierzyć: książce czy zespołowi? Owszem, interpretacje mogą być różne. Można tłumaczyć, że zespołów oświatowych dużo, bo ludzie mniej umieją, więc niby odrabianie zaległości. Ale można też powiedzieć na odwrót: oto jaki pęd do wiedzy, a ten przecież jest związany z jakimś rozmakowaniem się w jej zdobywaniu.

Tak więc niezależnie od tego, że warunki przekazu kultury plasują nasze województwo na jednym z ostatnich miejsc w kraju, prawdą a może paradoksem jest, że mimo to pod względem liczby placówek kulturalno-oświatowych na wsi zajmujemy miejsce pierwsze. Takie samo pod względem wyposażenia tych placówek w epidiaskopy, projektorzy filmowe i magnetofony. Epidiaskopów mamy tyle, co razem wzięte województwa białostockie, gdańskie i warszawskie. Również najwięcej mamy zespołów artystycznych, drugie miejsce po województwie bydgoskim zajmujemy w realizacji hasła „wiedź bliżej teatru”, itd.

Przytaczam te dane nie po to, by się upominać o odpowiednią rangę dla poszczególnych powiatów czy województwa, ani nie po to, by w ogóle wytworzyć mętlik, ale pragnę zwrócić uwagę na względność i niewystarczalność wykazów statystycznych tam, gdzie chodzi o uchwycenie procesów kulturalnych.

Tu chciałbym zbliżyć się do zagadnienia, które określiłbym wyrażeniem „pieniądz w kulturze”. By w tym fragmencie mojej wypowiedzi ewentualnie nie być źle zrozumianym, od razu się zastrzegam, że owszem, resort kultury uważam za niedoinwestowany i chciałbym dla tej działalności usłyszeć trochę więcej brzęczących, a jeszcze lepiej szeleszczących bodźców, ale nie można tej sprawy wiedzieć w jakimś laboratoryjnym wyizolowaniu od całokształtu naszych warunków ekonomicznych. Mamy nie tylko ten resort. Mamy w kraju również rolnictwo, przemysł, komunikację, budownictwo, gospodarkę komunalną. Mamy przede wszystkim współzależność wszystkich wymienionych dziedzin od siebie. Czy można tzw. statystycznego obywatela PRL ambicjonować w kierunku czytania czasopisma „Twórczość”, odwiedzania warszawskich teatrów i śledzenia wystaw plastycznych, nie dając mu równocześnie znośnych warunków mieszkaniowych, odpowiedniego dojazdu do miejsca pracy, dostaw artykułów codziennego użytku w jakiejś przystosowanej do okoliczności demograficznych sieci dystrybucyjnej? Czy taki akt szlachetnego dopingu na rzecz kultury będzie praktycznie skutkował? Zaintereso-

wanie wartościami kulturowymi jest trwale i owocne tylko wtedy, kiedy w naturalny sposób wynika ze wzrostu życiowego standardu. A zresztą kultura to również ośrodek zdrowia na wsi, to również nowy sprzęt agrotechniczny, to twarda nawierzchnia drogi położona na miejscu roztopionego błota. Nie chcę powiedzieć, że tych wszystkich elementów postępu cywilizacyjnego w jakiś drastyczny sposób nagminnie nam brakuje, ale w samym sposobie myślenia o kulturze trzeba uwzględnić te jej ekonomiczne, społeczne, materialne determinanty i publikacje. Owoc — owszem wysoka i smakowita to rzecz, ale nie istniejąca przecież bez związku z korzeniami.

Poza tym kiedy mówi się o potrzebie jakichś dofinansowań, o jakichś niewystarczających porcjach budżetowych, o wnioskach co do przyznania dodatkowych kredytów itp., to esobicie doznaje uczuć mieszanych. Bo z jednej strony rzeczywiście chciałbym usłyszeć rzecz w ruchu, bez zahamowań, w warunkach pełnego powodzenia, ale z drugiej — nie wiem do kogo mam się z apelem o te pieniądze zwracać. Wszyscy się z tym zgadzamy, że majątek narodowy to jest to wszystko, co własnym wysiłkiem i staraniem wypracowujemy. więc ten apel jakichś buternogiem wrzaca do nas samych. Chyba że ministra finansów posiadamy o posiadanie cudownego baranka, który strząsa z siebie złote polskie, również te dewizowe. Zagłosować, zredagować wniosek — nie trudnego, ale chyba jest coś i pilatowskiego w tym geście, jeśli się tylko do tego ogranicza. Zresztą nawet i w tym wymiarze nie mam śmiałości, kiedy na przykład widzę, że budynek domu kultury w niespełna rok po wykonaniu przestaje stawać opór deszczowi. Więc nie zawsze nawet problem tych „środ-

(Dokończenie na str. 3)



# Domek z kart

**P**ARTYZANCKA ofensywa w południowym Wietnamie rozwijała się w ciągu jednego dnia wiele mitów, które Amerykanie budowali przez całe lata. Jak domek z kart zawalił się system oszukiwania własnego społeczeństwa i opinii międzynarodowej na temat rzeczywistej sytuacji w Wietnamie, jest tym razem w sposób najbardziej bezlitosny, udowodniono, że półmilionowa armia amerykańska nie tylko nie może sobie poradzić z gorzej uzbrojonymi oddziałami partyzantkami, ale ponosił w starciach z nimi jedną klęskę za drugą.

Jeszcze w styczniu prasa amerykańska pełna była bilansów, w których wykazywano, jakie to sukcesy i jakie postępy osiąga USA w walce o opanowanie Wietnamu. Ofensywa partyzantka ośmieliła te oceń. To, co zaszło w Wietnamie południowym — pisał „Spectator” — było tak dalece nieoczekiwane, że Waszyngton nie wie jeszcze, co z tym wszystkim zrobić.

Prysł mit o rozbiću podstawowej sily patriotów południowowietnamskich. Mimo nieustannych pacyfikacji, walk i bombardowań, mimo przynajmniej przewagi w wyposażeniu wojsk amerykańskich, sily te potrafiły przejść do ofensywy i przejąć inicjatywę w swoje ręce.

Prysł mit o braku poparcia ludności dla walki narodowowyzwoleńczej. Jeśli ostatnie wydarzenia w Sajgonie i południowym Wietnamie były zaskoczeniem dla Ameryki — pisał „Paris Jour” — to stało się tak dlatego, że Amerykanie nie uznawali prawdziwego charakteru toczony z nimi wojny; wojny będącej ruchem oporu ludności przeciw okupantom. Ludność Wietnamu jest zjednoczona w swej walce przeciw obcym i rodzimym wrogom, mimo straszliwych cierpień aktywnie pomaga partyzantom i zasilą ich szeregi najlepszymi ludźmi.

Prysł mit o związku bombardowań Demokratycznej Republiki Wietnamu z wynikami walk amerykańskiej soldateski przeciwko patriotom południowowietnamskim. Barbarzyńskie bombardowania nie wpłynęły, bo nie mogły wpłynąć, na zdolności bojowe partyzantki w południowym Wietnamie, okazały się więc zwykłymi zbrodnictwami, nie mającymi żadnego uzasadnienia.

Prysł mit o kosztach, jakie musi wskutek tej wojny ponieść amerykańskie społeczeństwo. Nie chodzi przy tym o koszty moralne, bo tymi nikt w Białym Domu nie zaprzęta sobie uwagi, nikogo nie obchodzi rosnące zdziwienie w armii i w szerokiej kręgach młodych ludzi, zachęcanych do zabijania w Wietnamie. Chodzi o koszty wymierne w dolarach. Dotychczas obowiązywała w USA teoria, że Stany Zjednoczone mogą prowadzić wojnę w Azji, a jednocześnie nie dać odebrać tego społeczeństwu amerykańskiemu. Obecnie jest to już niemożliwe. Wojna pochłania coraz większe sumy. Trzeba obciążyć budżet, zrezygnować z walki

przeciwko nędzy we własnym kraju, by móc prowadzić brudną wojnę.

Ofensywa patriotów południowowietnamskich ma jednak szersze międzynarodowe reperkusje.

Wietnam jest jednym z głównych ogniw amerykańskiej „strategii globalnej”, polityki tych kół imperialistycznych, które nie mogą zrozumieć, że świat zmierza nieuchronnie ku wyższym formom życia społecznego. Stąd nastawienie na utrzymanie takiego status quo w świecie, które by uniemożliwowało jakiegokolwiek postępowe zmiany, na taką działalność, która by nie pozwalała opuścić komukolwiek i gdziekolwiek światowy system kapitalistyczny. Stany Zjednoczone powinny mieć możność strzeżenia i zamykania granic w odległych i trudno dostępnych rejonach, zanim jeszcze dojdzie do wywrótowej działalności, lub gdy będzie się ona znajdować we wstępnej fazie. Chodzi również o zdolność zapobiegania ruchom sił wywrótowych w ramach poszczególnych krajów — powiedział przedstawiciel Pentagonu, Ch. Herzfeld w wystąpieniu na terenie Izby Reprezentantów. Przewrót wojskowy w Grecji, agresja izraelska przeciwko kra-

Gerhard Bon-  
dzin; grafika z  
cyklu „Wiet-  
nam”. (Recen-  
zja wystawy  
grafiki Nie-  
mieckiej Repu-  
bliki Demokra-  
tycznej pt.  
„Przeciw ato-  
mowej zagła-  
dzie, przeciw  
wojnie” na  
str. 6).

Fot. CAF  
(Surowiec)



Prysł mit o zdolności Stanów Zjednoczonych do przywództwa w świecie zachodnim. Ambicje do przewodzenia okazały się ambicjami do spełniania roli żandarma w świecie. Ale i tej roli Amerykanie nie są w stanie odegrać.

Prysł mit o zdolności Stanów Zjednoczonych do przywództwa w świecie zachodnim. Ambicje do przewodzenia okazały się ambicjami do spełniania roli żandarma w świecie. Ale i tej roli Amerykanie nie są w stanie odegrać.

Prysł mit o zdolności Stanów Zjednoczonych do przywództwa w świecie zachodnim. Ambicje do przewodzenia okazały się ambicjami do spełniania roli żandarma w świecie. Ale i tej roli Amerykanie nie są w stanie odegrać.

Prysł mit o zdolności Stanów Zjednoczonych do przywództwa w świecie zachodnim. Ambicje do przewodzenia okazały się ambicjami do spełniania roli żandarma w świecie. Ale i tej roli Amerykanie nie są w stanie odegrać.

Prysł mit o zdolności Stanów Zjednoczonych do przywództwa w świecie zachodnim. Ambicje do przewodzenia okazały się ambicjami do spełniania roli żandarma w świecie. Ale i tej roli Amerykanie nie są w stanie odegrać.

Prysł mit o zdolności Stanów Zjednoczonych do przywództwa w świecie zachodnim. Ambicje do przewodzenia okazały się ambicjami do spełniania roli żandarma w świecie. Ale i tej roli Amerykanie nie są w stanie odegrać.

u sąsiadów

## Czesi i Słowacy

**D**ZIENNIKI „Rude Pravo” i „Pravda” zamieściły artykuł członka KC KPCZ J. Smrkovskiego, który pisze o stosunkach między obydwoma narodami Czechosłowacji, między robotnikami i inteligencją, o aktywizacji pracy partyjnej i o przygotowaniu nowego programu działalności KPCZ.

Obecnie my, Czesi i Słowacy, powinniśmy śmiało wkroczyć na niezbadany teren i szukać na nim naszej czechosłowackiej socjalistycznej drogi — pisze Smrkowski.

Jest to nawet naszym obowiązkiem w stosunku do całego międzynarodowego ruchu socjalistycznego. Ta zasada prowadzi nas do dalszego, nowego jakościowo, opartego na wypróbowanych zasadach równości, umacniania jednolici i Związ-

abyśmy opierali się na wypróbowanych tradycjach zrodzonych we wspólnej narodowowyzwoleńczej, antyfaszystowskiej walce i zabytym rozwiązywali problemy dotyczące naszych stosunków zgodnie z interesem wspólczesnej socjalistycznej wspólnoty. Komitet Centralny teraz właśnie zdał sobie z tego wszystkiego sprawę; nie chodziło o jakąś „ofensywę Słowaków” w kwestiach władzy — zaznacza autor artykułu.

Smrkowski pisze, że na plenum styczniowym nie można było dzielić dyskusyjantów na przedstawicieli inteligencji i robotników jak nie słusznie utrzymuje się gdzieś w terenie. Autor stwierdza dalej: Jeżeli w ubiegłym wieku nie można było złożyć i budować rewolucyjnej partii robotniczej bez Marksa i Lenina, to tym bardziej nie można budować socjalizmu w 1968 r. bez nauki, bez inteligencji. Dlatego też niewłaściwą i przynależną szkole wspólnej sprawie rzeźcą jest sztuczne tworzenie atmosfery jakiegos wzajemnego braku zaufania między robotnikami i przedstawicielami inteligencji.

Zdaniem autora, obecnie najważniejszym zadaniem jest zapoznanie całej partii z treścią pracy Komitetu Centralnego, wprowadzenie w niej ducha i metod ostatniego Plenum KC, kontynuowanie na wszystkich szczeblach szczerzej i uczciwiej wymiany poglądów. Należy dać pierwszeństwo silie argumentów przed siłą głosu i funkcji.



### Zmarli

W Londynie w wieku 73 lat zmarła Janina z Puttkamerów Żółtkowska, prawniczka Mickiewiczowskiej Maryli. Przed kilku laty opublikowała interesujące wspomnienia z młodości.

W Bukareszcie zmarł w wieku 60 lat Thodosis Pierides, najgłośniejszy ze współczesnych poetów Cypru. W ciągu ostatnich 20 lat opublikował 18 zbiorów poetyckich. Był czynnie zaangażowany w obronę niezależności wyspy. Jego „Opowiadania” i „Tłumaczenia” na kilka obcych języków, na Cyprze wydane trzykrotnie, zostały zakazane do publikacji przez obecną juntę grecką. Jego ciało zostało samolotem przewiezione na Cypr.

### Literatura

Wrocławskie „Ossolineum” obiecuje na połowę roku wznowienie „Zarysu dziejów literatury polskiej” Juliusza Kleimera. Okres po 1918 r., do którego doprowadził swoje znakomite dzieło Kleimer, będzie uzupełniony przez Włodzimierza Maciąga.

Nakładem wydawnictwa „Ceskoslovenský Spisovatel” ukazała się w Pradze praca prof. Romana Ingardena „O poznawaniu dzieła literackiego”. Książkę tłumaczyła Hanna Jechova, polskiemu opatrzył Jan Patoczka.

„Officina ferraria” Walentego Rózdzińskiego, wydany w 1913 r. poemat poświęcony hutnictwu polskiemu, ukazuje się niebawem w przekładzie angielskim w całości lub we fragmentach. Inicjatorami tłumaczenia są prof. C. S. Smith z Instytutu Technicznego w stanie Massachusetts (USA), autor dzieła „A history of metallurgy”, oraz doc. dr Jerzy Piaskowski z Zespołu Historii Polskiej Techniki Hutniczej i Odlewniczej PAN. Tłumaczenie poematu Rózdzińskiego, opracowanie wstępu i komentarza mają być dokonane w Polsce przez Zakład Historii Nauki i Techniki PAN.

Miguel Angel Asturias, laureat nagrody Nobla 1957, udzielił wywiadu korespondentowi madryckiego czasopisma „Cuadernos Para el Dialogo”, w którym powiedział m. in.: „Dopiero w ostatnich latach powieść łacińsko-amerykańska zainteresowała się problemami społecznymi, ekonomicznymi i politycznymi. Na podstawie naszych utworów literackich można nawet ułożyć geograficę ekonomiczną Ameryki Łacińskiej. Pisarzy chilijskich absorbują problem niedzi, arcytytuł — plantacje kawy, czuku, niesprawiedliwość i okrucieństwo, które są udziałem mieszkańców pampasów, pisarze boliwijscy główny nacisk kładą na sytuację górników, jak również na położenie Indian. Pisarze Peru poświęcają swą twórczość rdzennym mieszkańcom tego kraju, których pozbawiono ziemi. W Ameryce Środkowej temat większości książek stanowi życie na plantacjach bananowych.

W Jabłońcu nad Nysą (CSRS) wystawiona zostanie w lipcu br. „Istka” Stanisława Moniuszki (libretto Włodzimierza Wolskiego) w tłumaczeniu na język esperanto.

I krwiodawcy będą mieli swój hymn. Autorem tekstu i muzyki jest Georges Le Sidaner, podprefekt policji w Boulogne-sur-Mer, który w szkole średniej był uczniem Sartra.

24 międzynarodowy konkurs muzyczny w Genewie odbędzie się od 21 września do 5 października. Obejmuje gry na fortepianie, altówce, oboju i fachu oraz śpiew. Uczestnicy nie mogą mieć powyżej 30 lat.

W operze Monte-Carlo odbyła się prapremiera „L'Avventuriero”. Jest to opera w 2 aktach i 7 obrazach; muzyka Renzo Rossellini, libretto Diego Fabri.

Jeden z profesorów konserwatorium w Genewie — Narciso Yepes, z pochodzenia Hiszpan, występuje na koncertach z własnej konstrukcji gitara, która posiada dziesięć strun. Twierdzi, że dzięki temu może odzwierciedlać wszystkie utwory muzyczne.

Powieściopisarka francuska, Francoise Mallet-Joris, pisze libretto opery. Jej bohaterem jest Caryl Chessmann, morderca, który w 1940 r. zginął na krześle elektrycznym, ale przed egzekucją zdążył napisać głośną powieść „Cela 2455”. Muzykę komponuje Jose Bergmans.

### Sztuka

W czasie prac renowacyjnych w Toruniu odkryto stare korytarze podziemne, a następnie 3 tysiące monet krzyżackich z przełomu wieków XIV i XV.

Towarzystwo Popierania Kultury Regionalnej w Częstochowie obchodzi 25-lecie istnienia. W ostatnich latach wydało ono 7 tomów bogatych materiałów regionalnych.

W 500 rocznicę śmierci Johanna Gutenberga odbyły się w Moguncji uroczystości rocznicowe. Pokazano m. in. wydrukowaną przez niego w 1457 r. biblię. W Lipsku wystawiono psalter muguncki z 1457 r., pierwszy na świecie druk kolorowy. W Moskwie można było oglądać fragment książki „Prowinziale Romanum”, jedyny istniejący na świecie.

W serii kieszonkowych wydawnictw UNESCO poświęconych sztuce ukazało się ostatnio 6 nowych pozycji. Tomiki to dotyczą sztuki Afryki Zachodniej i Afryki Środkowej oraz twórczości Vermeera, Renoira, Miro i Picassa. Każda z pozycji przynosi zestaw kolorowych reprodukcji oraz studium krytyczne opracowane przez wybitnych specjalistów. Tomiki z tej serii ukazują się w 3 językach — angielskim, francuskim i hiszpańskim i wyróżniają się pięknym opracowaniem graficznym.

### Różne

W Łódzkim Domu Kultury powstaje nowoczesna baza techniczna służąca szeroko pojętemu poradnictwu w pracy kulturalno-oświatowej różnych organizacji i środowisk. Powołano tutaj do życia dział technik audio-wizualnych, podzielony na poradnię filmowo-fotograficzną i telewizyjną oraz studio opracowań dźwiękowych. W ten sposób łódzka placówka koordynować będzie działalność kulturalną i oświatową, spełniając postulat ostatniej rady dyrektorów wojewódzkich domów kultury, która odbyła się w Szczecinie.

Poszerzone Prezydium Rady Kultury i Sztuki obradowało nad sprawą udziału zakładów przemysłowych w rozwoju socjalistycznej kultury.

Na zlecenie Komitetu Językoznawstwa Polskiej Akademii Nauk i Gdańskiego Towarzystwa Naukowego Zakład Narodowy im. Ossolińskich rozpoczął edycję „Słownika gwar kaszubskich na tle kultury ludowej” dr. Bernarda Sychty. Ukazał się już tom pierwszy tego leksykonu od „A” do „G”, a całość obejmować będzie ok. 250 arkuszy wydawniczych, czyli blisko tys. stron.

Junta grecka zerwała na budowę w Atenach domów o nieograniczonej wysokości. Coraz więcej architektów z różnych państw oraz uczonych protestuje przeciw temu obawiając się, że drapacze chmur zniszczą piękną architekturę starożytną.

Francja i Mongolia zawarły pierwszy w historii obu tych państw układ kulturalno-naukowy.

Już od dłuższego czasu obserwuje się Niemczech zachodnich stale postępujący pogłębiający się proces koncentracji słowa drukarskiego i to zarówno w zakresie prasy, gdzie urosło „królestwo Axela Springera”, jak i w dziedzinie produkcji książkowej. Wielec polkają mniejszych, w rezultacie czego maleje liczba wydawców, a rośnie potęga gigantów, co powoduje gwałtowne powiększenie słowa pisanego. Zjawisko niepokojące, alarmujące kół postępowe NRF.

Przewodniczącym jury międzynarodowego festiwalu telewizyjnego w Monte-Carlo jest filmowiec rumuński Gheorgiu Mihnean.

### Film

Ostatnio podpisana została w Łodzi umowa o współpracy między Zakładami Mechanicznymi im. Strzelczyka, a Wyższą Szkołą Teatralną i Filmową im. Schillera. Studenci kręcić będą na terenie zakładów filmy i etudy szkolne, wrócić nich — prace praktyczne dla szkoły. Przewiduje się realizację filmów reklamowych przeznaczonych dla zagranicznych klientów oraz filmów instruktażowych. Metalowcy zaś służą będą uczelni pomocą techniczną, wykonując niezbędne urządzenia, udostępniając swoje środki transportu.

Coraz popularniejszym hobby wśród marynarzy floty handlowej i rybackiej staje się kręcenie filmów. Ostatnio zakończył się konkurs filmowców-amatorów, zorganizowany przez PTO w Gdyni. Najwyższe oceny uzyskały filmy Bolesława Golińskiego, asystenta maszynowego z „Dalmoru”, oraz kapitana Żegluga Wielkiej Zgromadzenia Łódzkiego. Dominowała w filmach tematyka morska.

Czechosłowacy i Czajkowskim będą bohaterami filmów biograficznych, przygotowywanych przez studio „Mosfilm”. Kończy się także filmy o współczesnej inteligencji radzieckiej, procesie w Norymbierdze oraz „Braci Karamazow” Dostojewskiego.

Claude Lelouch, twórca głośnego filmu „Mezycyżna i kobieta” rozpoczął realizację nowego utworu „Cale tyele mezycyżny”. Czterogodzinny film nakręcony będzie w konwencji niemieckiej, dźwiękowej i panoramicznej.

Eromantyzm — słowo powstałe z romantyzmu i erotyzmu — to określenie, jakie znalazł sobie wśród krytyków film francuski Sergio Gobbi „L'etrangere”

### Teatr

W pałacyku Tow. Przyjaciół Sztuki w Warszawie przy ul. Rykowskiego 3 odbyła się premiera kabaretu „Pod egidą”, sfinansowanego przez stołeczną Estradę i III program Polskiego Radia. To właśnie usamodzielniony zespół dawnej nadsenski studenckiej „Hybrydy” z Siemionem, Prucnalówną, Kreczmarem, Koftą i in.

Od blisko pół roku na scenie Litewskiego Akademickiego Teatru Dramatycznego w Wilnie z niezmiennym powodzeniem wystawiane jest „Tango” Sławomira Mrożka. Widownia jest stale wypełniona do ostatniego miejsca.

Tygodnik „Literaturna Rossija” zamieścił obszerny artykuł swego specjalnego korespondenta N. Lejkina o życiu teatralnym w Polsce pt. „Polska mozaika teatralna”. W czasie pobytu w naszym kraju autor obejrzał szereg spektakli w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu. Z dużym uznaniem wyraża się Lejkin o montażu piosenek partyzantek, który wystawia Teatr Kłaczynski pt. „Dziś do ciebie przyjdzie nie mogę”.

18 lutego przypadła 70 rocznica urodzin Bertolta Brechta. Znakomity pisarz, który znowiła doświadczył do władzy Hitlera wyemigrował z kraju, powrócił do NRD w 1948 r. i mieszkał w Berlinie aż do śmierci w 1956 r. Dzieła Brechta osiągnęły tylko w berlińskim wydawnictwie „Aufbau Verlag” łączny nakład 1,3 mln egzemplarzy. W Polsce Bertolt Brecht należy do najpopularniejszych autorów niemieckich. Jego sztuki od wielu lat nie schodzą z repertuaru polskich teatrów. Warto przypomnieć, że światowa prapremiera jego utworu „Swejk w drugiej wojnie światowej” odbyła się właśnie w Polsce, w Teatrze Dramatycznym w Warszawie w roku 1957.

Pablo Neruda napisał swój pierwszy utwór dramatyczny, którego premiera odbyła się ostatnio na scenie teatru w Santiago de Chile. Akcja sztuki „Sukces i śmierć Joaquina Murietta” toczy się w okresie „koryczki złota” w Kalifornii. Chilijski Murietta opuszcza Chile i udaje się do Kalifornii. Po stracie żony dołącza się do bandy zbójczej i zostaje kimś w rodzaju Robin Hooda — mścicielem bezprawnego i niesprawiedliwego. W ciągu całego przedstawienia „kantaty dramatycznej”, jak Neruda nazwał swój utwór, Murietta ani razu nie ukazuje się na scenie. Jego przygody opowiadają inni. Zza kulis docho- dzi tylko jego głos.

### Muzyka

Dyrektor Instytutu Muzykologii UW, prof. dr Zofia Lissa, wygłosiła ostatnio cykl wykładów w zagranicznych ośrodkach naukowych. Tematem wykładów poprowadzonych w Austrii i NRD, m. in. w Salzburgu, Kolonii i Bonnach, była muzyka polska oraz problemy estetyki muzycznej.



# Plenum KW PZPR w Lublinie

10 lutego br. obradowało w Lublinie Plenum KW PZPR poświęcone głównym kierunkom pracy kulturalnej na wsi. Plenum przewodniczył I sekretarz KW, Władysław Kozdra. W obradach uczestniczył zastępca kierownika Wydziału Kultury KC, Jerzy Kwiatek. Referat wygłosił sekretarz KW, Edward Machocki.

Mówca wszechstronnie przeanalizował dotychczasowy dorobek w dziedzinie upowszechniania kultury na lubelskiej wsi, scharakteryzował pracę klubów wiejskich „Ruchu” i rolnika, przyszkolonych ośrodków pracy kulturalnej, bibliotek, kin, zespołów artystycznych. Sekretarz KW nakreślał plan działania na najbliższe lata zwrócił uwagę na konieczność koordynacji rozproszonych środków materialnych, wypowiedział się za utworzeniem funduszu rozwoju kultury.

Po obszernej dyskusji Plenum podjęło specjalną uchwałę.

W „Kamieniu” niejednokrotnie pisaliśmy o problemach, które były tematem ostatniego Plenum. Będziemy zresztą do nich stale wracać w naszych publikacjach. Dziś drukujemy przemówienie prezesa lubelskiego oddziału ZLP, Zygmunta Mikulskiego, wygłoszone na Plenum, oraz artykuł Ireneusza J. Kamińskiego, korespondentów z problematyką, która przewijała się w toku dyskusji.

Tu nasuwałby się prosty wniosek: zwołać naradę w sprawie PGR. Owszem, można, ale nie sądzimy, że w tej dziedzinie postąpienie formalno-administracyjne przyniesie wymarzone rezultaty. Jak zainteresowanie człowieka dobrami kultury jest funkcją w ogóle jego sytuacji życiowej, tak systematyczność w ich korzystaniu zależy od smaku i apetytu korzystającego. Uczestnictwa w kulturze nie da się narzucić systemem zabiegów natury administracyjnej, ponieważ — jak ktoś kiedyś słusznie zauważył — można zmusić krowę, żeby podeszła do studni, nie można zmusić — żeby pła.

To konieczne liczenie się z gustami odbiorców, na których mamy oddziaływać widząc w idei klubów. W procesie zmiany form działalności kulturalno-oświatowej od zespołów — gigantów przez świetlice do klubów można wykryć zjawisko coraz bliższej obecności, coraz bliższego partnerstwa między oferentem a konsumentem. Tak jak by dystrybucja przystosowała rodzaj towaru do wyników przeprowadzonej analizy rynku. Dawniej, żeby na wsi uczestniczyć w zajęciach kulturalno-oświatowych, trzeba było albo tańczyć, albo śpiewać, albo deklamować. Dzień wystarczy napić się kawy. Nie chcąc tu wyrazić zadowolenia ze zmniejszenia się wymagań, w dalszym ciągu chodzi nam o coś więcej niż o stosowanie używek, ale ten sposób przyciągania jest i powszechniejszy i skuteczniejszy.

Gwarantujemy też trwalsze efekty. Budzić może jednak zastrzeżenie niereprezentacyjne, a czasem wprost mało efektywny wygląd lokali, w których się kluby znajdują. Za bliskie też czasem nawet jak na nasze warunki sąsiedztwo epoki: telewizor i podłoga na tyle zniszczona, że ukazująca gliniane klepisko.

Przebieg na przykładzie tych klubów — przeciętne i czasopiśmie, i gry towarzyskie, i płyty z nowościami — można mówić o kroku naprzód w dziedzinie urbanizacji wsi. Urbanizacja ta zaledwie się zaczęła, wesprzeć ją musi jeszcze potężny proces mechanizacji, modernizacji techniki rolniczej, ale wyraźnie zmieniają się warunki. Wielka liczba kontaktów okazja są kadorozwoju Dni Oświaty, Książki i Prasy. Możliwe, że to zastąpią samej pory roku, która zaczęła po prostu do wycieczek w teren, ale tak się w praktyce składa, że owe Dni są czymś w rodzaju generalnej wyprawy składanej wsi przez miasto. Po kilkunastu latach praktyki stwierdzić możemy, że akcja ta pozostawia trwale

ślady we wspomnieniach, przetykach, procesach rozwojowych wsi, jest więc bardzo udanym przyczynkiem do realizacji celów, o których tutaj mówimy.

Parę słów warto tu poświęcić ludziom, którzy to czynności niewątpliwie są skuteczniejszej, bo codziennie wykonują, nie ruszając się z miejsca: środowiskowym działaczom kultury. Można stwierdzić, że sprawa rozwoju kultury na wsi znajduje dobrych sojuszników, ludzie ci przystąpili bowiem do swego zajęcia zanim jeszcze sprawy te znalazły się w rękach państwa, a wykonują swą pracę nie licząc na żadne wynagrodzenie. Z zamilowania, a jakże często z talentu. Ci wolontariusze to poważny suksur dla naszej „armii zaczętej”. Owszem, coraz ich mniej, jak i wielu innych rzeczy ze zmianą socjo-ekonomicznego oblicza wsi jest coraz mniej, ale w tym, co osiągnięliśmy znajduje się ich znaczny wkład, a jeszcze na emeryturę się nie kwapią. Oni to właśnie mogą dać przykład młodym kadrom, których płynność jest wciąż pięta Achillesa zawodowego pionu kulturalno-oświatowego. Ale płynności tej nie zahamujemy przecież bez zwiększenia atrakcyjności tego zawodu, a to znów zahacza o owe ekonomiczne i organizacyjne zależności, o których mówiliśmy poprzednio. Tak więc na razie nie proponowalibyśmy rozpaczy. Ani gonitwy za cudownym lekarstwem. Przede wszystkim raczej wykorzystajmy możliwości już posiadane, bo zdarcza się, że i to nam przeciekają przez palce.

I to chyba byłby wniosek kończący nie tylko tę część mojej wypowiedzi, ale jej całość. Nie przedstawiłem tu obrazu sprawy. Nie chodzi mi o stwierdzenie istniejącego stanu rzeczy. Chciałem tylko zaproponować pewne modyfikacje w patrzniu na problem upowszechniania kultury z mojego punktu widzenia. Uważam, że obok tzw. obiektywnych trudności jest sporo w tym działaniu zwyczajnych niespójności, straty energii i czasu, a więc czynników dających się wyeliminować po prostu w trybie uregulowania aparatu. Nie myślę, by była to czynność niebotycznie trudna.

Zygmunt Mikulski

wódzkie instytucje kulturalne, opiekujące się ruchem klubowym, mogą pozwolić sobie na luksus rezygnacji z rozbudzenia środowiska wiejskiego. I w tym miejscu dotykamy istoty problemu, które, mimo to, „człowiek”. Wydaje się, że dotychczasowe metody szkolenia ludzi bezpośrednio decydujących o pracy klubów nie spełniły swojego zadania w stopniu takim, jakiego oczekiwano, że zasada powoływania rad klubów była zbyt mechaniczna, a konsekwencje warunków, na jakich zatrudniano gospodarzy klubów — nieprzewidywane. Dlatego też pozwoliliśmy sobie powiedzieć na początku, że ruch klubowy zadrapał w miejscu.

W powiatach, gdzie przynajmniej jeden z partnerów — organizatorów ruchu klubowego wykazuje więcej inwencji, pobudzając innych do działania, obserwuje się zadowalającą pracę klubów. Niestety, ograniczenia kadrowe powiatowych domów kultury — powołanych do bezpośredniej pomocy placówkom wiejskim — uniemożliwiają częste i korzystne (dla drugiej strony) kontakty z aktywnym klubowym, doprowadzają do paradoksalnych sytuacji, kiedy instruktorzy poradni k. o. w celu wykonania planu „pomocy” wpadają do klubów jak po ogniu i po udzieleniu zdawkowych porad ulatniają się na kilka następnych tygodni. W innych powiatach informuje się jedynie kluby o możliwościach pomocy metodycznej, którymi dysponuje PDK.

Równocześnie jednak Wojewódzki i powiatowe domy kultury włożyły wiele wysiłku w organizację różnych form szkolenia gospodarzy i rad klubów. Tylko w jednym roku kulturalno-oświatowym 1966/67 przeszkolono 1293 działaczy społecznych. Ale: hospitacje kursów i konferencji wykazały, że nie zawsze

(Dokończenie na str. 11)

Kamena str. 3

# Aby szanse nie przeciekały przez palce

(Dokończenie ze str. 1)

ków budżetowych”. Czasem po prostu skrupulatności, skuteczności, sensowności normalnego działania.

To, moim zdaniem, ważna sprawa. Z krzewieniem kultury, z upowszechnianiem kultury na wsi postępujemy tak, żeby zostawiwszy za sobą jakieś stadium pracy, już do niego nie wracaliśmy. Każdy bowiem taki powrót utrudnia zajęcie się etapem następnym. Stoi np. przed nami sprawa gromadzkich, a w przyszłości może ponadgromadzkich ośrodków kulturalno-oświatowych. Niech ich stan posiadania w cegle będzie na tyle pewny i zabezpieczony, żeby — kiedy przejmą dominującą rolę w oddziaływaniu na środowisko — nie okazało się, że należy dać sobie na cierpliwość, ponieważ reprezentatywne ośrodki tymczasem zdążyły się zdezorientować. To nie czeza obawa. Mówię tu na przykładzie choćby tomaszowskiego Powiatowego Domu Kultury, który przez długi czas powiatowym domem kultury stać się nie mógł. Za dużo mamy obiektów, które jeszcze przed narodzinami zdążyły się postarzeć.

Wydaje mi się, że w zbyt wielu wypadkach ofensywę upowszechniania kultury przeprowadzamy warunkowo. Pod warunkiem, że przedwczesne remonty budowlane nie usuną nas z pola. Pod warunkiem, że zainteresowane instytucje czy pionierzy dojdą do porozumienia. Pod warunkiem, że nie zabraknie funduszy na opłacenie sprzętaczki. Wszystkie te trudności zwalmy na barki tzw. koordynacji, która w tych warunkach staje się niczym innym jak postacią biurokracji, produkującą już nie poszczególne dokumenty, ale całe segregatory, szuflady i szafy urzędowego papieru reklam etatowych pracowników. Pozwólcie sobie w tym miejscu złożyć im wyrazy głębokiego współczucia. Zazwyczaj otrzymują dołknki i

kpinki jako te tzw. „urzędnicy” w przeciwieństwie do działaczy rzeczywistych, niepapierkowych, wolnych od atmosfery zeskorporowanego urzędu. Naprawdę ich funkcja i sytuacja znacznie mniej kwalifikuje się pod pojęciem rysowane pejoratywne etykiety. Owszem, są urzędnikami platinymi, ale równocześnie muszą być i działaczami kultury, a jakże często ekwilibrystami poszukującymi dwudziestą pięć godzin w okresie dobowym, jakiegoś rozwiązania między sprzecznymi stanowiskami paru instytucji. Paradoksy naszej administracji bardzo wyraźnie wychodzą na jaw właśnie na terenie tego resortu.

Budzi również niepokój stan jakiegoś bezwładu w sterowaniu zjawiskami i procesami kulturowymi. W sterowaniu, co do którego zgadzamy się, że jest i możliwe i korzystne. Na przykład często słyszy się na naradach i zebraniach, że duże sumy na działalność kulturalno-oświatową są w posiadaniu pewnych instytucji, ale dobrego ducha, czy dobrych krasnoludków potrzeba, by nakłoniły kierownictwa tych instytucji do wykorzystania pieniędzy zgodnie z ich przeznaczeniem. Nie podważam zasad samorządności, ale wydaje mi się, że pewne rozwiązania nie mogą zależeć od dobrego lub złego humoru paru ludzi, że jeśli mamy wojewódzkie i powiatowe instytucje administracyjne, to z pomocy krasnoludków możemy zrezygnować. Często zaś bywa tak, że decyzje w sprawach kultury rodują się w gabinetach prezesów i dyrektorów, instancje zaś resortowe w kulturze co najwyżej mogą trzymać kciuki za tychże decyzji pomysłowości.

Wydaje mi się też — co jest szczególnie aktualne — odnośnie szczebla powiatowego — że administracyjne komórki kultury za mało chcą się widzieć w roli aktywnych

i odpowiedzialnych decernentów, za dużo zaś w roli niezupełnie kompetentnych „koordynatorów”. Mówi się np., że każdy powiat powinien mieć swój plan rozwoju kultury. Słusznie. Ale równocześnie nie podkreśla się należycie autorytetu założenia tego planu mają reprezentować na płaszczyźnie urzędowej i społecznej. Nie we wszystkich powiatach jest wydział kultury. Od kogoż więc wymagamy, by wdrażał ów plan w życie — od referenta wydziału innego? Kto ma stać na czele wszystkich spraw kultury w powiecie? Nawet nie kierownik wydziału? Coś się tu nie zgadza. Nie proponuję tzw. przerostów administracyjnych, ale wydaje mi się, że bez dodatkowych etatów, bez dodatkowych kosztów można zapewnić wyższą rangę sprawom kultury, co jest — powtórzę — szczególnie potrzebne niższym szczeblom administracyjnym naszego województwa.

Są środowiska, które z racji swego charakteru, składu, skupienia powinny być szczególnie podatne na działalność kulturalno-oświatową, a przynajmniej kulturalno-rozrywkową. Mam na myśli PGR. Środowiska te mają wielość wspólnego z mieszkańcami. Po pierwsze grupują znaczną liczbę ludzi w jednym miejscu zamieszkania. Po drugie — ludzie ci ujęci są jednym rytmem pracy i w określonych godzinach dysponują czasem wolnym. Po trzecie — ich stosunek do ziemi jest stosunkiem robotnika do warsztatu, nie zachodzą więc tu żadne implikacje psychologiczne, które mogłyby zdecydowanie określić awersję, czy predylekcje. Wszystkie wskazywałoby na to, że inicjatywy kulturalno-oświatowe powinny tu trafić na podatny grunt, spotykać się po prostu z oczekiwaniem. Tymczasem tak nie jest i nawet nie bardzo wiadomo, gdzie szukać przyczyny. Może za małe zainteresowanie tą sprawą ze strony kierownictwa zajętych głównie dbaniem o wykonanie planów produkcyjnych, może za słaby nacisk ze strony aparatu resortowego, może nieodpowiedniość i nieatrakcyjność proponowanych zajęć — faktem jest, że ten hektar — zdawałoby się — predestynowany do wysokich plonów weale nie przyczynia się do wzrostu towarowości w kulturze województwa.

pawa optymizmem. A kiedy przypomnimy, że wnętrza klubowe są na ogół nieźle zaopatrzone w sprzęt masowego przekazu informacji, nie najgorzej przystosowane do przyjmowania gości, to ogólna ocena sytuacji klubowej musi prowadzić do pozytywnej pointy. Ale ocena ta będzie fałszywa, jeśli przy jej formułowaniu pominiemy samą działalność klubów. A więc: co dzieje się w klubach?

Sprawozdania, szeroko korzystające z metod statystycznych, przekonują, że na ogół dużo i niemal dobrze. Ogląda się programy telewizyjne, słucha radia, czyta prasę i od czasu do czasu tańczy. W klubach skupia się działalność kulturalna i oświatowa. Tu właśnie odbywają się spotkania autorskie i odczyty, kursy gotowania i pielęgnacji włosów, szkolenia rolnicze i ideowo-polityczne ZMW, kursy dla rowerzystów i motocyklistów. Przy klubach działają uniwersytety powszechne TWP (52) amatorskie zespoły artystyczne i szkoły zdrowia. Wiele z tych form społecznej edukacji realizują kluby niejakie wzorcowe, czyli te, które wyróżniły się w wojewódzkim konkursie na „Najlepszy klub wiejski 1967”: w Firleju („Rolnika”), i Miejsce, Dzierżkowicach („Ruchu”), Żaniewie („Rolnika”), Siedliszach („Ruchu”), Starej Wsi („Ruch”), Strzeszkowicach („Rolnika”), Goraju („Ruchu”), Chmielowie („Rolnika”), Pożogu („Ruchu”), Zakowoli i Strzyżowie („Ruchu”).

Jakże jednak dużo jest jeszcze placówek, które do złudzenia przypominają nieszczęsnej pamięci świetlice. Byłem w niejednym klubie, niejedną kronikę klubową wertowałem. Po pewnym czasie przestałem prosić o udostępnienie mi tej bogato zdobionej książki, albowiem z góry wiedziałem, co w niej znajdę. Najczęściej takie notacje: poniedziałek, wtorek, sobota — oglądanie telewizji, gry towarzyskie, wieczorek taneczny. Spotkania z ciekawymi ludźmi, dyskusje, quizy liczyłem na palcach. Schemat najprostsz, najłatwiejszy w realizacji, bo wymagający tylko przekręcenia gałki telewizora czy włączenia adapt-

teru. Schemat, urozmaicany zebraniem kola gospodyń wiejskich lub — nie notowanym — różniem w karcieci.

Z jednej więc strony nieliczne kluby prężne, o wielostronnym programie działania, z drugiej zaś — wiele przybytków sennych spotkań towarzyskich. Zanim poszukamy przyczyn tego kontrastu, zapytajmy: jaki właściwie powinien być profil klubów? Czy mają to być omnibusy z wszelaką drobnicą, teren, na którym rozwijają się wszystkie problemy upowszechniania kultury? Ośrodki dokształcania pozaszkolnego, zawodowego, czy też miejsca zebrania różnych organizacji społecznych i politycznych? A może sale treningowe zespołów pieśni i tańca, teatrzyków amatorskich i kabaretów? Czy po prostu kluby kulturalnej rozrywki?

Kiedy weźmiemy pod uwagę stan inwestycji kulturalnych na wsi, odpowiedź musi brzmieć jednoznacznie: dopóki w każdej gromadzie nie zbudujemy domu kultury o uniwersalnej funkcji, dopóty kluby spełniać muszą rolę omnibusów, transportujących to wszystko, co narzucają potrzeby danego terenu.

Ponad cztery lata dzieląc nas od powstania pierwszych klubów nie zmieniły fakt, że placówki te jak były, tak i są nadal w stadium eksperymentu. Pozbawione oparcia w tradycji, bo i skąd ją wziąć, nie „wypracowały” dotychczas modelu, który można by w zasadniczych punktach uznać za ogólnie obowiązujący; obfitość proponowanych form konkretnej działalności nie stanowi jeszcze modelu. Nie przy tym nie wskazuje, aby w najbliższej przyszłości model taki został skonstruowany. Pomijając czynnik doradne, musimy pamiętać, że procesy kulturowe, społeczne i ekonomiczne przebiegają na wsi lubelskiej w warunkach niecierpliwym tempie. Inaczej w pobliżu stolicy województwa, jeszcze inaczej w zapadłej wsi nadbużańskiej. Tylko realne możliwości i potrzeby konkretnego środowiska mogą określać program działalności klubowej. Co nie znaczy, że powiatowe i woje-

# Smak klubowej kawy

Ireneusz J. Kamiński

ZBANALIZOWANY przez życie i prasę obrazek: dwaj rolnicy w klubie „Ruchu” wypijają cztery, pięć czy sześć szklanek kawy. Czy im aż tak smakuje? Nie wiadomo. Nie o to jednak chodzi. Liczba kolejek kawy określa stopień ich zaangażowania w nowość, liczba jest wyrazem akceptacji nowego obyczaju. Stanowi o prestiżu w środowisku. Na smak przyjdzie czas. Kiedy przyjdzie i czy sam przyjdzie?

Otoż to: kiedy statystyczne osiągnięcia, owe setki klubów, zaczęta owocować w postaci matematycznie nieuchwytnych, lecz najbardziej istotnych, bo związanych z bogaceniem ludzkiej osobowości, z kształtowaniem nowego modelu człowieka kulturalnego, zdolnego do samodzielnego wyboru proponowanych wartości? Stwierdzenie, że proces już w tej chwili jest zaawansowany i płodny, byłoby zbyt optymistyczne. Wręcz przeciwnie, ruch klubowy po czterech latach żywiołowego rozwoju zadrapał nieco w miejscu. Zatrzymał się na drodze o krótkiej perspektywie, która owszem, pozwala na uruchomienie jeszcze kilkuset placówek, ale nie gwarantuje pełnego uruchomienia ludzkich umysłów. Postawmy więc pytanie zasadnicze: co się dzieje wewnątrz klubów? W ubiegłym roku sam lubelski „Ruch” wydał lekką ręką na organizację i wyposażenie klubów

niemal 20 mln zł. Poza tymłożył na utrzymanie placówek, pokrywał koszty prenumeraty czasopism — ponad 360 tys. zł rocznie, dopłacił kilkaset tysięcy do telewizorów, zakupionych przez wiejskie środowiska.

Równie dużo pieniędzy i energii pochłania budowa nowych placówek oraz adaptacje i remonty istniejących. Większość bowiem klubów zlokalizowana jest w pomieszczeniach jednoizbowych, co utrudnia sensowną działalność kulturalną, obliczoną na szersze środowisko. Zdarzają się lokale wilgotne i zagrzybione, co z kolei stawia pod znakiem zapytania celowość wyposażenia ich w sprzęt lepszy i droższy. Konieczność poprawy niektórych warunków, w jakich znajduje się spora jeszcze liczba placówek, zmusza do wielu krętych zabiegów, popartych otwartym portfelem.

Pomimo takich czy innych trudności, liczba klubów stale wzrasta. Obecnie w kraju istnieje 7,5 tys. placówek firmowanych przez „Ruch” i nieco mniej przez spółdzielczość wiejską. Udział Lubelszczyzny w tej statystyce zachęca do gratulacji: ponad 700 klubów działa na naszym terenie. I choć ich rozmieszczenie nie jest jeszcze prawidłowe — w 75 gromadach nie ma żadnego — to przecież dynamiczny rozwój ruchu klubowego musi na-



Musimy swoją Ojczyznę  
pachnącą różami i chlebem  
wprzód nakryć  
własnym sercem  
jak gdyby drugim niebem  
JAN POCEK

# Zapole

Waldemar  
Michalski

rapsod  
o ziemi mojej

Nr 1 (4)

3 III 1968

Rok II

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy — Ośrodek Lubelski przy ZW ZMW



Fot. R. Sieńko

a czy nad uherką  
czy popradem  
miłości  
ty moja  
chelmszczyzna:

— w białej muszli szumi echem  
echem borem po dolinie  
dym z komina  
świt czerwony  
białe wieże i kurhany  
jutrznie gasi:

— bo się srebrzą srebryszcza  
pełno żółci gdzie żółtańce  
białe głowy dziwożony  
dziwogóry białawiny  
darzbóg jeździec kracza wrony  
bywaj miła  
rosa lubin pierś ramiona:

— rączy wracają z niedźwiedziem  
hej wymienia złote rogi  
na miedziane krążki  
i będzie je kazimierz  
stary janczykowski  
zbierał mrużąc że talary:

— ziemia moja wzniosła hełmem  
ziemia legła łonem  
w miodolce modrzewiowej  
w dym jałowca i żywicy  
ich ikona: pyszna moja  
wojom strojna  
miodom pilna  
słowem rodna:

— w imię ognia  
kredy  
wody  
niech brzemienna rodzi  
nad granice  
kształty kruche  
idzie echem:

— wyją syreny  
dnieje:

— więc w drogę  
miłości ty moja  
chelmszczyzna  
razem

Krystyna Makuła-Trochimiuk

## Syn śpiący pod modrzewiami

uczę cię Ciebie dobrze  
lepiej niż mnie uczyły  
moje uniwersytety  
lepiej niż myśleć  
umiem ogromne zdziwienie  
Twoich oczu  
lepiej niż czekać nauczyłam się  
Twoich pierwszych zębów  
lepiej niż ciężkie łyzy  
umiem ronić cichy lęk  
na każdy dzień Twój  
maleńki  
i jednej mi tylko ciszy trzeba  
ciszy modrzewi  
— bo śpisz właśnie —  
by usłyszeć w Tobie serce moje

## Fraszki

Józef Małek

Marian Kaczmarczyk

### STRÓŻE

Trudno z losem wygrać turniej.  
Kiedy w jury siedzą durnie.

### TARCZA

Gdy go władza bije,  
za order się kryje.

### PRAWO NATURY

Praw natury nikt nie zmienia;  
osił tylko osła cenę.

### RADA

Nie bierz teńorza  
na etat stróża.

### ZDARZA SIĘ

I tak się zdarza czasami,  
że ktoś na alarm dzwoni zębami.

### WIEDZĄ SĄSIEDZI

Wiedzą sąsiedzi  
z czym kto chodzi do spowiedzi.

# Moja książka

Adam Fiala

**P**opełniłem przestępstwo i wsadzili mnie do celi. Siedzę na niziutkim taboreciku, z czterech stron mur. Z jednej strony, tuż przede mną, w murze maleńkie okienko. Szybki zakurzone, pokryte pajęczyną.

W pajęczynę, niby w sieć, powpadały żółte motyle. Za oknem nic ciekawego. Znowu ceglasty mur, wysokie wieżyczki z budkami, drzewo, które w żadnej porze roku nie ma liści, kraczące wrony.

Zewnętrzny świat wydał mi się tak mało interesujący, że postanowiłem w ogóle mu się na przyglądać. Całą swoją uwagę skupiłem na celi. Postanowiłem się nauczyć jej na pamięć. Policzylem cegły. Było ich kilkadziesiąt. Na każdej jakieś napisy. To moi poprzednicy, więźniowie, wypisali. Były to jakieś symbole, litery, cyfry. Napisy te niewiele mi mówiły. Zresztą napisy były wszędzie, nie tylko na ceglach. Na nodze mojego taborecika ktoś pracowicie wyduł: „czekam i wytrwam”. Skrobałem się w głowę, ale nie mogłem wymyślić żadnego napisu.

Zauważyłem, że zaczynam w celi żyć inaczej niż na wolności. Było to życie wewnętrzne. Nigdy się nad tym na wolności nie zastanawiałem. Nie miałem czasu na życie wewnętrzne. Zajęcia zawodowe, koledzy, dziewczyny, potem rodzina, stale mnie ktoś absorbował. Gdy choć na chwilę zostawałem sam, słyszałem tylko obce głosy. A gdy i one umilkły, następowała denerwująca cisza i poruszając się, słyszałem, jak mi kości chrzęstają. Było to nie do zniesienia, więc czym prędzej szukałem towarzystwa.

Teraz, wśród ceglatego muru, zacząłem samodzielnie myśleć. Przeanalizowałem swoje przestępstwo, nie przeszkadzał mi już w tym mój adwokat, którego sugestie wydawały mi się nie do przyjęcia i drażniły mnie tylko. Nie żalowałem swojego czynu. Tu, w celi, doszedłem do wniosku, że moje postępowanie było wynikiem okoliczności, które mi towarzyszyły. Gdyby się zmieniły okoliczności, gdyby się zmienił ten łańcuch osób, które mnie otaczały, gdyby samo wyschło morze alkoholu, które wypijałem — nie popełniłbym tego przestępstwa. Nie miałem więc do siebie żalu. A i otoczenie zmieniło mi się radykalnie.

Nie musiałem nic czytać. Powtarzałem w myślach jedną grubą książkę, którą znalazłem na pamięć. Powtarzając tekst, za każdym razem starałem się mu nadać inną interpretację, naświetlić go z innej strony. Ekspre-

ymentowałem, zmieniając kolejność pewnych fragmentów książki. Pewne rozdziały eliminowałem, a na ich miejsce ustawiałem nowe, wymyślone przeze mnie. Tę książkę było moje życie. Książka była jedyna w swoim rodzaju.

Wreszcie nadałem ostateczny kształt mojej książce. Kształt ten utrwaliłem w myślach, w myślach napisałem nawet zakończenie. Nie odczuwałem najmniejszej potrzeby, żeby książkę tę przelać na papier. Wydawało mi się to bezużyteczną pracą. Po co? Dla mnie ona już była na papierze, miała doskonały, skończony kształt starannie wydanej książki. Gdy zamykałem oczy, czytałem jej stronicę, przewracałem w myślach kartki. Znałem ilość rozdziałów i stron na pamięć.

Ludzie na zewnątrz szukali szczęścia i miłości, a zabijali się wzajemnie. Budowali uporczywie swoje życie z drobnutkich cegiełek, stawianych jedna na drugiej, jedna na drugiej. Podmuchał wicher i wstrząsły ziemi rozszepowały te budowle. Ludzie się cieszyli, że trochę cegiełek zostało, że choć najniższe fragmenty budynku są nie naruszone.

Ja miałem książkę, moją książkę, która była już skończona i której nie zagrażał żaden wstrząs. Byłem szczęśliwy, pielęgnowałem w sobie moją książkę, żadne obce myśli, niespodziewane zdarzenia, nie zacieraly jej fragmentów.

Niestety, nawet w celi nie pozwolono mi być zupełnie szczęśliwym. Od pewnego czasu słyszę w tylnej ścianie jakieś podejrzane szmery, chrobotanie. Jakby przekopywał się do mnie przez ceglasty mur olbrzymi kret, który miał łapki zakończone stalowymi pazurkami. Wiedziałem, że to nie mógł być kret. To mógł być tylko jakiś inny więzień, człowiek, istota społeczna, szukająca towarzystwa i obiektu do swoich zwierzeń.

Z każdym dniem chrobotanie stawało się wyraźniejsze. Zaczęło mnie ograniczać przerażenie. Bałem się o moją książkę, jedyną dzieło mojego życia. Bałem się, że te intymne przeżycia, które mi opoziły przebijający się do mojej celi więzień, zniszczą moją książkę, zetrą ją w mej pamięci.

Uporczywie wertowałem w myślach kartki mej książki. Postanowiłem mimo wszystko przynajmniej jakieś fragmenty ocalić.

Był to najwyższy czas. Chrobotanie stawało się coraz wyraźniejsze. Wiążeń już dawał jakieś znak-



# Do Pińczowa na ryby

Tadeusz Bartosz



Fot. Jerzy Niziński

**N**IE wiemy, czy Jan Przypkowski, i Samuel Przypkowski, i Zbigniew Morsztyn, i Olbrycht Karmanowski bywali kiedykolwiek w Pińczowie. Kalwini założyli tutaj gimnazjum. Później, gość z zachodniej Europy, Piotr Statorius, reformował je, aby nie panowała wszędzie tutaj łacina, ale i język rodzimy, polski.

On to, Statorius, emigrant francuski — o losy ludzkie dziwne! — uczniów swych w Pińczowie łacińskie utwory na język polski przekładać uczył, a sam po łacinie — pierwszą Gramatykę języka polskiego w 1568 roku napisał.

Bywali chyba tutaj jednak oni wszyscy, arianiści poeci. Niedaleko była też mniejsza szkoła w Chmielniku, bliżej Kielc, a na dwa lata przed śmiercią Fausta Socyna, w 1602 w Rakowie powstała arińska akademia, szeroko słynąca potem jako jedyna antyrynkarska o wyższym typie szkole. Nic też dziwnego, że ciągnęła do niej młodzież z całego Zachodu, z Siedmiogrodu, innych nawet niekatolickich wyznań.

Pińczów więc ariankim był ośrodkiem i działy się tutaj rzeczy bardzo burzliwe. Piotr z Goniądza w 1556 roku przeciwko bóstwu Chrystusa wystąpił i przez synod kalwiński w Pińczowie odbywający się ze społeczności zborowej wykluczony został.

Tutaj, tak jak w Rakowie, drukarska oficyna dzieła Braci Polskich wielkich poetów i filozofów tłoczyła. Wśród nich pewnie też poezje Grzegorza Pawła z Brzezin, który w 1591 r. w Pińczowie życie zakończył.

Chodzę po Pińczowie, patrzę na Nidę rozlewającą się tutaj szerokiemi zakolami. Dzisiaj po obu brzegach rzeki już pusto. Opustoszały domki kempingowe, które w letnich miesiącach i jeszcze nawet we wrześniu pełne były studentów architektury. Pamiętam ich w sierpniu. Dziewczęta w wymyślnych białych czapczkach, grupy chłopców roslých i opalonych, chodzilo to bractwo po mieście, obok starych rotund, baszt i kościołów ustawialo sztalugi. Pińczów był wtedy jakimś małym Montmartre, pełnym malującej młodej bohemy, nawet kościół stary obok Belwederu, czy ten na Mirowie francuskański, mógł uchodzić za bazylikę Sacré-Coeur...

Latem Pińczów jest piękny i to piękno zaskakuje na każdym kroku. Zza Nidy, z okna któregoś domku, czy z werandy wodnej stacji możesz popatrzeć na miasto ścielące się w górę po wapienno-gipsowym grzbiecie tarasami ulic. Ulice te plombują się teraz białymi domami wykładanymi z wierzchu płytami; tylko Pińczów takie ma i chyba jeszcze warszawski Pałac Kultury... Te domy nazywają ludzie w Pińczowie „sztajnerówkami” bo

projektował je kielecki sławny urbanista — inżynier architekt Tadeusz Steiner. Innych bloków ludzie tu nie chcą.

O Pińczowie głośno zaczęło się mówić ostatnimi laty. O Pińczowie — turystycznym. Dotychczas nikt tu nie zaglądał z szerokiego świata. Prawda, przyjeżdżali wierni Ślązacy, hutnicy i górnicy z Siemianowic. Wabiła ich tutaj rybnia, wędkarska Bonanza. Bo ryb w Nidzie jest tak dużo, jak we wszystkich słowiańskich rzekach musiało być przed tysiącem lat. Wiekami innych rzek kieleccyżny skutecznie zatruli sieki z nowoczesnych fabryk. Nie masz ich już w Kamiennie, w Bobrze, a ostatnio nawet w Czarniej, nie licząc mniejszych rzeczek i strumyków. Jedynie Nida ma ryby, bo nad jej brzegami nie zadyłmy jeszcze przemysłowe kamienie.

Nie też dziwnego, że w sierpniu zmagali się tutaj wędkarze całego kraju, którzy Nidę wybrali na miejsce ogólnopolskich zawodów mistrzów wędki. Przy tej okazji przez Pińczów przewinęła się rekordowa liczba turystów. W najlepszych letnich porach brzegi nadnidziańskie pełne były namiotów, samochodów, a pińczowskie szkoły w szwach pekały od natłoku kolonii dziecięcych ze Śląska, Warszawy, a nawet aż z Gdańska. Jeśli w Pińczowie miejsca nie było, to Powiatowa Rada lokowała owe kolonie i wycieczki w powiecie. Słynnym takim miejscem jest Chroberz z pięknym pałacem Wielopolskich, dziś siedziba rolniczego technikum. Nawet takie Sedowice, wioska mała, poczuły się miejscem mogącym zaoferować turystyce wspaniałe, niezapomniane wczasowisko nad rzeczką zięciwą i również pełną ryb. Tam to właśnie, w szkole nowej, zamieszkały dzieci z Warszawy, które na drugi rok też duchem do Sedowic chcą przyjechać.

Wiadomo, czym w Polsce turystyczny jest Nowy Sącz. Szeroko o nim w kraju i za granicą. Pińczówse pozazdrościł tych laurów mistrzowi. Stanął z Nowym Sączem do współzawodnictwa. Nie wiem, jaki będzie werdykt sędziów od turystyki, może Pińczów nie pokona Nowego Sącza, ale jeśli nawet, to korzyść jest, bo rozbudziły się tutaj zdrowe apetyty i ambleje.

Co w Pińczowie znaleźć mógł turysta, który był tu latem?

A więc kilkanaście zgrzebnych domków na stacji wodnej na drugim brzegu rzeki. Oprócz nich mieszka na namioty. Zawsze były zajęte. Na stacji pan Duraczyński, człowiek ogromnej pracowitości i jeszcze większej zacności, pełnił wytrwale honory domu, przyjmował, wypożyczał sprzęt, dbał o stanicę jak o swoje. Ratownicy również stale czuwali nad bezpieczeństwem kąpiących się. Było więc tam latem cudownie. Turysta, który przybył do Pińczowa, a okazał się skrzętny, na wszystko baczący, prawdziwy, mógł wymyszkować dla siebie kupę rzeczy uczesnych. Mógł sobie w michalowskiej stadninie u inżyniera Jaworowskiego na najprzedniejszej arabskiej i angielskiej, a może jeszcze przedniejszej, bo polskiej krwi ogierach, bachmatach i rumakach przepysznych w siodle po blonich pomyknąć... Albo zmówić się i w przedwieczór z panem Janikowskim na Zarzecze wybrać się z wędami na rybną wyraj... Albo — pomiędzy Zajezierzem a Kopernią aż pod Wechadłów — z flintą za kaczkami pobrodzić w butach gumowych po pas... Tyle tylko, że tu

już znajomość i laskawość łowczego Władka Lewickiego, zarazem prezesa PTTK, potrzebna była...

Mówię o tych wszystkich Pińczowianach, bo sam wszystkich kosztowałem — dzbanem pełnym. Bywało, nieraz sam wyrzywałem się na jedno z tych wzgórz, gdzie zamek Oleśnickich kiedyś...

To tu stało zamieszko zniszczone przez szwedzki potop z powierzchni wzgórza. Widać czworobok placu, młodymi drzewami zagęszczone. Jakieś zlepiska kamiennych murów, może to resztki zamku, fosy, zapadlina wyłożona dużymi blokami porośnięta zielonym mchem kamienia...

I ten widok, widok na Pińczów, jakby sportową awionetką leciał czy helikopterem, miasto pod tobą białe z czerwonymi dachami tak dziwne, że serce wzruszenia nie pomieści... Można najęć niespodziewanej nostalgii dostać, chandry unyńskiej i jak Tuwim powiedzieć sobie, że rzuciłbym wszystko, rzuciłbym od razu, osiadłbym w jesienią w Kutnie czy w Sieradzu. Właśnie wtedy ma się cheć osłaść w takim Pińczowie, w mieszkaniu z białego pińczowskiego kamienia, w takiej pińczowskiej szajnerówce.

Panny Bernadetty tego dnia nie było w muzeum. Gdzie ją poniosło, tego archeologa w spódnicy? Kierowniczką Powiatowego Domu Kultury, pani Barbara Kopania, powiedziała mi, że archeolog Bernadetta pojechała do Wrocławia, tam podobno rolnicy wykopalili coś przy padkiem w ziemi, jesienią orząc ją, dali więc znać, aby pani z muzeum się zjawiała, bo może to coś ciekawego...

No więc — dziennikarskiego czasu tracić „nieźliza” zatem łazęga po korytarzach Belwederu. Tu — Dobrowolskiego, tego z Radomia plastyka, oleje i pejzaże, pewnie pod radomskie i zaulki radomskie, ale tak bardzo jedne i drugie do pińczowskich podobne, przysięgnym, że tutaj, w białym Pińczowie artystą był i tu malował.

I plakat Mariana Mazura, pińczowskiej plastyki instruktora oglądać można. Tutaj prowadził on dzieciece ognisko plastyczne. Sam w większej ilości plakatów swoich jeszcze nie wystawiał. Szkoda. Nikt jakoś o tym nie pomyślał. A przecież plastyków amatorów jest w tym mieście kilku — wymienić choćby tylko Franciszkę Wójcik czy Jana Lucika. Oni również mogliby swój dorobek pokazać. W pińczowskim Belwederze przez kilka tygodni gościła wystawa kieleckich amatorów plastyków, o nazwiskach zna-

nych nie tylko w kieleckich salonach wystawowych — Antoni Lankoff, Kazimierz Moullis, Stefan Agliwicz.

Szkoda tylko, że nie wykorzystano okazji, aby pińczowscy amatorzy pędzla i palety do nich przyłączyli się. Byłby i dla nich i dla Pińczowa kulturalnego większy pożytek.

Pani Barbara kulturalną edukację zdobyła u Waldemara Babinicza w Rożnicy. Kto tam nie był, nie wie, jak potem człowiek staje się zapaleńcem, ile ideałów wynosi w bagażu. Można powiedzieć, że jeśli Pińczów ma w swoim domu kultury jakieś kulturalne życie, to chyba jest w tym sporo z wartości rożnickich.

Rozmawiamy sobie z panią Barbarą o tej pińczowskiej kulturze. Wystawy plastyczne mają tu swoje stałe miejsce. Byli już Trzcina, Cetner, amatorzy, teraz Dobrowolski. Czy ktoś kupuje obrazy? Raczej nie, choć — prawda, był tu swego czasu profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, odczyt miał o wyprawie na Spitzbergen, upodobał sobie „Krakowską kwaciarkę”, kupił.

Oczywiście, pytali ludzie o ceny. Za wysokie jak na pińczowskie kieszenie. Nie pytała, niestety, o ceny obrazów żadna z pińczowskich władz, instytucja, dyrekcja, Prezydium Powiatowej Rady, Komitet Powiatowy Partii, PZGS, Spolem, Zakłady Kamienia Budowlanego... Tam — na korytarzach i w gabinecie — oglądałem tylko fotograficzne panoramy Pińczowa, z talentem zresztą zrobione przez Jerzego Nizińskiego, fotografa i kierownika kulturalnego Belwederu w jednej osobie, trochę oleodruków — bitów pod Grunwaldem, holdów pruskich, unii lubelskich. Nikt — tylko Powiatowy Dom Kultury kupił trzy oleje kieleckiego plastyka Wyczałkowskiego.

Znów któregoś dnia pojechałam do Pińczowa. Żeby wrzeszczę spotkać mojego archeologa, Bernadette. Udało mi się. Bernadetta ma twarz przypominającą kobiety z obrazów Gainsborough'a, taki na przykład „Portret Mar. Robinson”.

Rozmawiamy o pińczowskim muzeum, które właściwie jest w załazkowym stadium, ale magister Bernadetta szeroko do jego organizacji się zabiera, chomikuje gdzie może wszystkie zamierzenia, pińczowskie starość. W małej salce są już drewnyje urny ciałopalne, ceramika, stare pogrzebne ze-

lastwo. Ale największą uciechę sprawiła mi rzecz całkiem nowa choć o historii dawnej mówiąca — świeży, jesienny gips z Doliny Nidy pachnący — model pokazny, makietki owego zamczyska Oleśnickich i „cnych Myszakowskich” sprzed szwedzkiego potopu... Wspaniała lekcja poglądowa dla szkolnej młodzieży i dorosłych, najświetniejsza „pomoc naukowa” dla naszej wyobraźni.

Co dużo mówię — kulturę robią ludzie. Nie robią jej wielkie budynki, domy i pałace kultury, przestronne sale, szerokie ekrany. One są, oczywiście, potrzebne, ale jeśli nie ma ludzi, budynki będą puste, bez duszy.

Od kilku już lat atrakcją Pińczowa jest własny „Teatrzyk Propozycji”, a jak go zwą sami twórcy „Teatr Jak-najmniejszych Form”. To duże jednak formy, amatoraki teatrzyk. Byłem na drugim przedstawieniu „Zielonej Gęsi”. Wespole — sami najmniej oczekiwani ludzie: dwóch inżynierów budowlanców, ze świętego skądinąd Pińczowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego — Jerzy Duda reżyser (taki pińczowski Jacek Fedorowicz) i Andrzej Biernakiewicz. Wespole — magister Bernadetta i Barbara Kopania i Anna Jakubczyk, Jan Górecki i Bolesław Król. A muzyka Jerzego Nizińskiego, autora i kompozytora znanego już tutaj „Pińczowskiego Walczyka”.

Muszę powiedzieć, że ta „Zielona Gęś” była największej dotychczas miary kulturalnym wydarzeniem Pińczowa. A więc — był Bal u prof. Bączyskiego, Urołona kantyna, Laura i Filon, Julia czyli delikatność uczuć, Małe kina, Celestyn Kałężyce, Noc umiera, Pożegnanie z latarniami, Przemarsz aniołów... Był cały pikantny gdzie trzeba, to znów liryczny do lez mistrz Konstanty Ildefons, wybornie wystawiony.

Byłaby to pyszna zabawa, gdyby kielecki Klub Dziennikarza zechciał laskawie zaprosić do siebie pińczowski Teatrzyk Jak-najmniejszych Form. Przecież zmieściłby się i nie powstydził na estradzie, która oglądała dobre przedstawienia teatrzyku Ryszarda Smołwskiego. Może też wzięłyby ich w gościnę Klub Merkurys, Nauczyciela, NOT... Dlaczego niby nie? Biermy do Kielce import — nie tylko z Warszawy, Krakowa, Łodzi. Również z Pińczowa, również z Kazimierza Wielkiego. Może okazać się, że... wcale nie gorsze będą od estradowych, scenicznych, bigbitowych prominentów.

# Nagroda to nie tylko pieniądze

Stanisław Burakiewicz

**N**ARESZCIE i technika doczekała się jakiegoś awansu. Nie licząc nagród państwowych, które obejmują wszystkie dziedziny pracy i twórczości ludzkiej, dotychczas jedynie kultura mogła pochwalić się wcale pokaźną ilością nagród — od Ministerstwa Kultury poczynając, a na klubie „Ruchu” czy jakimś zespole amatorskim z Koziej Wólki kończąc. A technika co, chociaż korzystało z niej na co dzień przynajmniej dziesięć ministerstw? Jakis konkurs na mister Warszawy, o Złotą Kielnię czy Złotą Wiechę — i na tym niemal koniec. W nagrodach, rozdzielanych co roku przez prezydium wojewódzkich czy miejskich rad narodowych, rzadko kiedy znalazło się miejsce dla inżyniera — i to z naginaniem regulaminu, który osiągnięć techniki z zasady nie uznaje.

A właśnie teraz w całej Polsce rozdzielono — po raz pierwszy! — nagrody Komitetu Nauki i Techniki. Dodajmy zaraz, że z wyraźnym preferowaniem techniki, jako że faktycznego rozdziału nagród dokonano za pośrednictwem zarządów wojewódzkich Naczelnej Organizacji Technicznej. Ale nie tylko, regulamin bowiem powiada, że nagrody przyznaje się „za wybitne osiągnięcia w dziedzinie techniki, a

miennowicie nowych konstrukcji i technologii, wynalazczości i racjonalizacji, bezpieczeństwa i higieny pracy, popularyzacji postępu technicznego i podnoszenia kwalifikacji kadr oraz rozwoju informacji naukowo-technicznej”.

Suma nagród w skali krajowej wcale pokaźna — 3 miliony złotych. Te pieniądze Zarząd Główny NOT podzielił z góry na poszczególne województwa, po 100 do 500 tysięcy — zależnie od tego, co można nazwać umownie potencjałem technicznym, związanym raczej z potencjałem przemysłowym województwa niż wyżuźlencielianym. Popierając najgoręcej inicjatywę Komitetu Nauki i Techniki, doceniając społeczną pracę kilku tysięcy działaczy NOT, rozpatrujących wnioski, chciałbym jednak zgłosić kilka wątpliwości w sprawie obowiązującego w tej chwili regulaminu. Oczywiście nie oznacza to, że wypowiadam się za wprowadzeniem w nim odpowiednich zmian już w roku przyszłym.

Rozdział nagród niemal zawsze budzi wątpliwość wśród tych, którzy te nagrody otrzymują. Każdy nagradzany z reguły uważa, że właśnie on w porównaniu z innymi powinien być otrzymał wyższą nagrodę, że jego wniosek jest bardziej wartościowy, nawet jeżeli teoretyczne obliczenia wykazują inaczej.

Ludzka to rzecz, chociaż rzeczywistość są przykłady kumoterstwa, podejmowania decyzji w wąskim gronie bliskich sobie osób czy szczególnego honorowania dyrektorów tylko dlatego, że właśnie są dyrektorami. Ale to już całkiem inne sprawy.

Wnioski o przyznanie nagród Komitetu Nauki i Techniki zgłaszano do lub wysuwano przez zakładowe koła stowarzyszeń branżowych, zrzeszonych w NOT, przy czym koniecznym warunkiem było to, iż pomysł dotychczas nie otrzymał żadnej innej nagrody (z wyjątkiem wyplat za racjonalizację lub patent). Tak więc ustawiono sprawę możliwie najbardziej sprawiedliwie, dając głos przede wszystkim najniższym komórkom organizacyjnym. Następnie wnioski z uzasadnieniami wędrowały do zarządów wojewódzkich stowarzyszeń, gdzie były opiniowane i wreszcie do jury, złożonego z przedstawicieli tych stowarzyszeń oraz prezydium Oddziału Wojewódzkiego NOT. Od orzeczenia tego jury już nie istnieje możliwość odwołania.

Nie podważam tu ani dobrej woli ani wysokiego poziomu wiedzy ludzi, którzy te wnioski selekcjonują lub nagradzają. Moja pierwsza, ale zasadnicza wątpliwość polega na stwierdzeniu względnej wartości wniosku. Otóż w warunkach jednego województwa jakiegoś opracowa-

nie naukowca czy praktyka może mieć kapitalne znaczenie — i wtedy najbardziej zasłużenie otrzymuje on nagrodę I stopnia. Ale taki sam wniosek złożony w innym województwie — np. dotyczący przemysłu węglowego a zgłoszony w woj. lubelskim — dla tego województwa nie posiada żadnego znaczenia. Już tylko droga dobrej woli może zawędrować na Śląsk, ale tam nagrody otrzymać nie może, bo pochodzi spoza wyznaczonego dla nagród rejonu. A właśnie jedną z podstawowych zasad tych nagród jest to, jakie one posiadają znaczenie dla gospodarki i rozwoju techniki w „swoim” województwie. Podobny więc los spotka wniosek z zakresu rolnictwa czy sadownictwa zgłoszony w woj. katowickim. Przy szczególnie dobrej woli mogą zdarzyć się wyjątki — ale one tylko potwierdzą nieprawidłową regule.

Druga sprawa to sztywne limity nagród na poszczególne województwa. Mówili mi członkowie jednego z jury, że tak z ręką na sercu powinni byli przyznać cztery nagrody zespolowe I stopnia. Ale to oznaczało wyasygnowanie 100 tysięcy zł

(Dokończenie na str. 11)



„pokój dla wszystkich miłości”

**K**ORRESPONDENCYJNY Klub Młodych Pisarzy, prowadzący działalność pod opieką ZMW utrwał się — takie są oznaki — w naszej rzeczywistości kulturalnej. Czy przybrał on taki kształt, że spełnia nadzieje członków i opiekunów? Trudno tak orzec, tym bardziej że pozycja Klubu ulega modyfikacji. Można przy tym domyślać się, iż członkowie Klubu dostrzegają w sobie przede wszystkim — jeśli nie wyłącznie — pisarzy, natomiast społeczne aspekty kazyłby w Klubie widzieć skupionych miłośników i przyjaciół literatury.

Podjęcie własnych publikacji poetyckich, acz opartych na istniejących wydawnictwach, pozwala widzieć w Klubie partnera, którego poczynania trzeba przyjąć z życzliwą uwagą. Pomimo nawet pewnych niebezpieczeństw tego rodzaju działalności. Nie ulega bowiem wątpliwości, że do KKMP trafia sporo osób zawodzionych, które napotykały na trudności w kontaktach z prasą literacką i wydawnictwami, szukają więc one innych sposobów wypełnienia swoich zamierzeń pisarskich. Ci zawodzeni są równocześnie najbardziej uparci w szukaniu mecenasów i w końcu ich znajdują. Przy tym oni właśnie najłatwiej przystosowują się do wymagań, mód i wiatrów, u nich najłatwiej więc o wtórność i powtarzanie cudzych odkryć.

Ale — i tu ukryte są nadzieje związane z KKMP — trafiają do Klubu jednostki, którym los pogmatwał drogę, albo u których potrzeba pisania objawiła się później. Przynoszą oni zasoby nowych doświadczeń, autentyczny obserwacji. Literatura dla nich oznacza coś więcej niż drukowanie co tydzień wiersza. Obiektu wspomniane grupy wywodzą się na ogół z terenów peryferyjnych i stąd tandeta utworów pisarzy pierwszej grupy jest jaskrawa, a świeżość wyników artystycznych pisarzy drugiej grupy bardziej widoczna. Chodzi o tego rodzaju doświadczenia, które w zakresie prozy przyniosły pamiętniki młodego pokolenia wsi, a także o wyszukanie przyspanych pokładów świadomości archaicznej, tego wszystkiego ze stemplem dawności, co — osaczone i wypierane przez nową — trwa jednak i przenika teraźniejszość. Ale przejdźmy do konkretnych.

„Podplomyk” Zygmunta Wójcika otwierała z nadzieją, że pod tym obiecującym tytułem znajdzie się coś z tego świata, który symbolizować może słowo tytułowe. Wiersze, które w tomiku się kryją, przypominają bardziej zakalec, a jeśli ktoś szukał świadectw przeciwko wojnie współczesnej, to mógłby ich wiele znaleźć. To nie wiersze, to usypiska słów pozabawione działania „wyobraźni stwarzającej”. Nie skonkretyzował jeszcze swoich wizerunków poetyckich Tadeusz Chudy. Takie utwory jak *Na ogniu na wodę na głód* czy *Pieśń pstrągową pełną wskazują na pewne możliwości rozwoju, ale autor ma jeszcze do przezwyciężenia sporo podstawowych problemów, choćby wyznaczenia na własny użytek przynajmniej granic poezji i prozy. Wersyfikacyjny układ *Kołyśnianki* nie przekształcił prozy na tekst poetycki. Tę uwagę w postaci łagodniejszej można by powtórzyć przy zbiorze Dionizego Maliszewskiego, choć skala odczuwania jest tu szersza, a wyraz poetycki dla przeżyć lirycznych znacznie skuteczniejszy. Poezja Mazowsza — a należy do niej w poważnej mierze liryka Maliszewskiego — ma swoje stereotypy i autor nie zawsze ich uniknął. Ciekawszymi miejscami są tam, gdzie widać owocowanie wpływów przedwojennego Przybysia, zbyt zresztą dosłowne. Ale czy to stanie dziś za pochwałę?*

Odwolanie się do awangardy ma jednak swoją wartość: daje ostrzejszą świadomość poetycką i uczy krytycyzmu wobec rzeczywistości językowej. „Zrenica” Feliksa Rajczaka dowodzi, że przyswojenie języka liryki awangardowej może prowadzić i dziś jeszcze do wyników interesujących. Ciekawość w tego autora jest sposobem przekładania świata widzialnego na obraz poetycki z zachowaniem ruchu i wewnętrznej aktywności. Trudno, oczywiście, namawiać do przedłużania obecnej praktyki, ale jako punkt wyjścia jest to stanowisko pewne i sprawdzone.

Z całej serii poetyckiej KKMP najwyższy chyba lot wykazał Tadeusz Soroczyński. Na dobrą sprawę można w jego zbiorze widzieć dosyć jednolity poemat, w którym strony świata artystycznego zostały ostro wyznaczone. Myślę, że tomik ten sprawiłby wiele radości teoretykowi autentyzmu, Stanisławowi Czernikowi, bowiem Soroczyński — świadomie czy nie, obojętna rzecz — ku postawie autentystów się zbliża. Krag wsi widzialnej od strony pejzażu i elementów „ponadhistorycznych” wyraża się w języku i obrazowaniu całkowicie z nich wyrastającym. Jedność myśli, widzenia i narzędzi jest konsekwentna i godna uwagi.

Inną odmianę autentyzmu — już bez związku tego słowa z kierunkiem poetyckim — uprawia Ryszard Milczewski-Bruno. Do jego wierszy przecieka rzeczywistość wsi współczesnej z całym jej zróżnicowaniem. Wobec pewnych jej elementów zachowuje autor ironiczny dystans, ale nie zawsze potrafi znaleźć właściwą formułę wypowiedzi. Nie wydaje się, by patronat Białoszewskiego, widoczny w pewnych wierszach, przyniósł wyraźniejszy pożytek.

„Oczy bazylijska” Tadeusza Daszkiewicza natomiast przynosi zbiór liryków prozy poetyckiej, wykorzystującej często motywy okupacyjne. Najciekawsze są te miejsca, gdzie utwory zbliżają się do normalnej prozy opartej na zdarzeniach i faktach, miejsca tzw. poetyckie są raczej mierniejszej jakości.

Trzeba dodać, że wszystkie tomiki, o których była mowa, są równocześnie małymi albumami, zawierają bowiem malarstwo lub grafikę. O czym już kto inny powinien by napisać. Podnoszą one wartość edycji, której wielu poetów mogłoby pozazdrościć. Warto więc tę inicjatywę kontynuować, czyniąc jednak wszystko, by tomiki tej serii nie zostały na bocznych drogach literatury.

Tadeusz Klak

Tadeusz Chudy: „Daję noc”. Malarstwo Weli Symonowicz. Łódź 1967. Wyd. Łódzkie; Tadeusz Daszkiewicz: „Oczy bazylijska”. Grafika Marka Złocha. Łódź 1967. Wyd. Łódzkie; Dionizy Maliszewski: „Rzeźbione w bursztynie”. Grafika Antoniego Boratyńskiego. Warszawa 1967. LSW; Ryszard Milczewski-Bruno: „Bzręgiem słońca”. Grafika Ryszarda Dudzińskiego. W-wa 1967. LSW; Feliks Rajczak: „Zrenica”. Malarstwo Zbigniewa Kupczyńskiego. W-wa 1967. LSW; Tadeusz Soroczyński: „Baruje ci sad”. Malarstwo Krystyna Zielińskiego. Łódź 1967. Wyd. Łódzkie; Zygmunt Wójcik: „Podplomyk”. Malarstwo Bogusława Balickiego. Łódź 1967. Wyd. Łódzkie.

**P**ROTESTOWAĆ przeciwko wojnie można w różny sposób. Można wyjść na ulicę z transparentem i krzyknąć „pokój!”, można oblać się benzyną i spać lić pośrodku placu. Krzyk żywych przeciwko jękom agonii, śmierć jednostek przeciwko śmierci tysięcy.

Inny protest, bez gestów, bez słów: wykuć pomnik dla spalonego miasta, wyciosać postać człowieka z dziurą zamiast serca; kilkom kreskami zatrzymać na papierze moment ostatniego, najwyższego przerażenia mordercy; wszechogarniającą wapienną bielą przypomnieć blask Hiroszimy.

Wyjście na ulicę jest odruchem gwałtownym, samopalenie ostatnią możliwą formą protestu, kłątwa rzucaną światu. Na papierze, na płótnie i w kamieniu spontaniczny gest ograniczają rygory języka artystycznego; obok refleksji nad życiem, refleksja nad sztuką.

Mówi się po to, aby być słyszonym, słyszy się wówczas, jeśli się rozumie, rozumie się wtedy, kiedy język posługuje się znanym słownikiem. Sztuka współczesna wykształciła pewien typ języka uniwersalnego, ułatwiającego między narodowe porozumienie. Nie opisuje, lecz sugeruje, nie obrazuje, ale znaczy. Powrót do wcześniejszych sposobów wypowiedzi artystycznej kończy się zazwyczaj niefortunnie, prowadzi do banału. Współczesne wydarzenia i nastroje, lęki i myśli epoki, ujawniane poprzez sztukę, nie mogą polegać na stylizacyjnym przekazie.

W lutym w Lublinie otwarto wystawę grafiki NRD. Zobowiązujące hasło wystawy: „Przeciw atomowej zagładzie, przeciw wojnie” zostało w różny sposób zrealizowane plastycznie przez poszczególnych artystów. Wielu z nich zaufało znanym metodom pobudzania uczuć i wyobraźni, odwołano się do stereotypów obrazowych. Z jednej więc strony powtarzają się realistycznie potraktowane motywy macierzyństwa i pięknie zbudowane, klasyczne niemal portrety dziecięce, a także sceny z codziennego, pokojowego życia, z drugiej zaś — dramatyczne ilustracje okrucieństw, które przynosi wojna. Swoich szlachetnych intencji nie udało się jednak autorom przyoblec w kształt graficzny całkowicie pochłaniający uwagę widza, warunkujący autentyczną przeżył. Mówili o problemach powszechnych, wszystkich nas obchodzących, lecz językiem, który stracił dziś na nośności. Nie wszyscy, oczywiście.

Hanfried Schulz potwierdził, że aby wyrazić tragedię przekraczającą ludzkie wyobrażenia, nie sposób korzystać z wy-



Gerhard Bondzin: „Niezwyciężeni” z cyklu „Wietnam”. Fot. CAF (Surowiec)

eksploatowanych środków i metod plastycznych. Jedną z jego prac z serii „Hiroshima” posiada niezwykle wprost, dramatyczne napięcie, uzyskane w równie zaskakujący, bo prosty sposób. Białe półkole, zamknięte prostokątem, łamie się nagle w środku swojej jedynej linii prostej, co wyzwała trudny do konkretyzacji niepokój. Ciemny postrzepony otok u dołu akwaforty sugeruje to wszystko, co pozostało z żyjącego niedługo miasta. Nie, bezładne stopy abstrakcyjnych kresk znaczących grzyby domów i ludzi.

Natomiast Gerhard Bondzin pozostał przy figuracji. Nie opisuje jednak, nie ilustruje wydarzeń, wzięcia forma postaci ludzkiej, przywiązanej do pala („Niezwyciężeni” z cyklu wietnamskiego), ustykuwana w jakiejś nieokreślonej scenarii pionowych i poziomych mocnych rytmów, symbolizuje upór, zdecydowanie i niezłomność człowieka walczącego z obcą przemocą. Nie ameknia, ale system napięć formalnych, owe jaskrawe biele pasów ścierające się z agresją czerni, ten luk zgłębia, lecz nie poddaje się grzbiemu stanowią o mocy oddziaływania grafiki Bondzina, o jej artystycznej wartości. Podobną aluzyjność i sugestywność odnajdziemy w innych pracach tego autora, m.in. w „Dong Hoi”, gdzie za a k twarzy i ręki zanurzone są w znaku ognia.

I jeszcze jedna indywidualność wystawie niemieckiej, Lea Grundig. W tym wypadku odwołanie się do tradycji przyniosło szczęśliwe rezultaty. Dlatego, że z tradycji symbolizmu zaczerpnięto tylko niektóre elementy i podporządkowano je widzeniu współczesnego artysty, co w rezultacie dało intrygującą zbitkę plastyczną o wielowarstwowych

treściach. Poetycka metafora odebrała naiwną dosłowność i plakatowe natręctwo tańczącym szkieletom i tulącej się obok młodej parze. Ostre i cienkie linie, wystrzelające światłem z plamy mroku, oddzieliły ruchliwym pasmem życie i śmierć, dwa przeznaczenia człowieka: „pokój dla wszystkich miłości”.

Lea Grundig tytułuje swoje prace poetyckimi wersami. Pablo Neruda i Brecht, „pokój dla wszystkich miłości” i dramatyczna inwokacja „Proszę Was, miejcie litość nad sobą”. Ta ostatnia towarzyszy skłębionej akwafortie, której głównym motywem jest wzbijający się w niebo grzyb atomowej eksplozji; jego kolista podstawa szczerze wypełnia ludzkie twarze. Ten opis może powodować obawy, że mamy do czynienia z tanią, pomimo wszystko, narracją literacką, z uproszczonym symbolizowaniem. Słowo jest bezradne jako narzędzie precyzyjnego opisu obrazu i nie na to poradzić nie można. Jedynie wyjęcie to obejrzyć prace Lea Grundig i przekonać się, jaką aktywną rolę wyraża, emocjonalna, spełnia tam forma graficzna, sama struktura formalna dzieła.

Do ekspresyjnego symbolizmu średniowiecznych obrazów i rytów odwołuje się Ronald Paris. Jego „Ostatni wariant starego tematu tańca śmierci”, przedstawiający dwa ogromne szkielety tańczące nad grzybem atomowym, zbliża się przecież do formuły plakatu współczesnego: syntetycznej, zwięzłej, szybko zwracającej uwagę.

IJK

BIAŁA DAMA SZUKA TOWARZYSTWA

(Dokończenie ze str. 1)

serwatorskie nie pozwolą im na adaptację obiektów w zakresie niezbędnym dla przyszłego użytkownika — wyjąłna Gawarecki we wspomnianej wyżej pracy.

Dwa lata temu w prasie lubelskiej ukazały się informacje, że Miejski Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki uzyskał fundusze na renowację zamku i umieszczenie w nim hotelu turystycznego oraz restauracji. Jednakże w tym czasie w Lublinie rozpoczęto budowę dwu nowych hoteli i zamierzenia MKKFIT upadły. Czy jednak w czterdziemilionowym mieście nie ma żadnej instytucji lub przedsiębiorstwa, które mogłoby zaopiekować się opuszczonym zabytkiem? Popuszczam wodze fantazji i oczyma wyobraźni widzę zamek odbudowany za pieniądze pobliskiego kolosa

przemysłowego, Fabryki Samocho-dów Cieszarowych, widocznej zresztą z okien baszty. Luksusowy hotel, klub, restauracja, kawiarnia, mała sala teatralno-kinowa... Cóż to byłaby za frajda... Latem na dziedzińcu mogłoby się odbywać występy artystyczne, koncertowałyby filharmonia, orkiestra FSC...

Dajmy jednak spokój marzeniom! Jakubowice są dość atrakcyjne i jakiś bogaty mecenas mógłby wykorzystać je niemal od zaraz, zanim jeszcze nastąpiłaby odbudowa. Obok zamku znajdują się bowiem dwa parterowe pawilony z roku 1803, w których już obecnie można by z powodzeniem umieścić np. bar kawowy i sklep ze słodyczkami. Tuż poza dziedzińcem znajduje się duży, murowany dwór, zamieszkały obecnie przez kilka rodzin, obok zaś ołbrzymia murowana obora, nadająca się świetnie na garaż. Stok wzgórza zamkowego porasta park angielski, założony w 1803 r. Zamek i pawilony otoczone są częściowo murem z XVII wieku z ot-

worami strzelniczymi; z tegoż okresu pochodzi mur oporowy podpierający zamek od strony wschodniej i potężne piwnice z sześcioma częściowo zasypnymi wejściami. Interesującym elementem jest brama wjazdowa, składająca się z dwóch jednopiętrowych wieżyczek połączonych ze sobą arkadą. W pobliżu stoi zrujnowany domek ogrodnika. Niedaleko wzgórza zamkowego plynie Bystrzyca, Rzeka cuchnie, lecz jest tu o wiele mniej zanieczyszczona niż w dolnym biegu.

Biorąc pod uwagę surowe sankcje, jakie ostatnio spadają na trucidali wód oraz to, że obecnie koryto Bystrzycy oczyszczane jest z wieloletnich osadów, można mieć nadzieję, że za kilka lat Bystrzyca w Jakubowicach będzie jeszcze jednym czynnikiem rekreacyjnym. Tuż pod zamkiem znajdują się resztki starych stawów rybnych, które mogą zostać przebudowane na kąpielisko zasilane wodą z rzeki...

Moim zdaniem wartość Jakubowic Murowanych polega głównie nie na ich przeszłości. Ważniejsze jest to, że ustrzuwane są w interesującym krajobrazie, a zatem powinny spełniać rolę czynnej przez cały rok placówki wypoczynkowej dla mieszkańców Lublina. A takich placówek miasto nasze nie posiada zupełnie. Pod względem podmiejskiej bazy turystyczno-wypoczynkowej Lublin znajduje się jeśli nie na ostatnim, to na jednym z ostatnich miejsc wśród miast wojewódzkich w kraju.

Gdzieś bowiem mogą udać się mieszkańcy Lublina w dzień wolny od pracy, lub w wolne popołudnie? Po odpadnięciu Puław z grona miejscowości wypoczynkowych, pozostały tylko Kazimierz i Nałęczów,

zafoczone do ostatnich granic możliwości, połączone z miastem nie najlepszą, jak na współczesne wymagania, komunikacją. Jeziora Łęczyno-włodawskie, Firlej i ośrodek wypoczynkowy w Zemborzycach, dysponujące jedynie koloniami domków kempingowych, przyciągają tylko w pełni lata i to przy słonecznej pogodzie. Z pogodą bywa u nas różnie; zdarza się, że lipiec jest bardziej deszczowy niż marzec. Tymczasem medycyna już dawno przekonała nas, że wypoczywać na łonie przyrody należy przez cały rok, nawet w czasie słotnych dni jesieni i w wiosenne szarugi. Ilustrowane pisma zachodnioeuropejskie reklamują stale sprzęt turystyczny na dni słotne; buty gumowe, płaszcze nieprzemakalne, kapelusze rybackie. Nie brak tego i w naszych sklepach. Spacer po deszczu ma jednak tylko wtedy swój urok, gdy kończy się dotarciem do jakiegoś ciepłego, miłego pomieszczenia, gdzie czeka nas gorąca przekąska czy filiżanka aromatycznej kawy, głęboki fotel, możliwość poczytania prasy, obejrzenia telewizji, pogrania w szachy. Choćby więc polki naszych sklepów lamaly się pod ciężarem butów gumowych i płaszczy nieprzemakalnych, nie możemy zachęcać do turystyki zimowej, wiosennej i jesiennej, bo nie mamy dla niej żadnej bazy.

Na równi z niedostatkami bazy odczuwa się jednak i niedostatek świadomości społecznej. Mieszkańcy lubelski, nawet z tytułem naukowym, pcha się swoim samochodem co niedziela, przez cały rok, do kawiarni w pałacu Malachowskich w Nałęczowie, jak żyje zaś nie był na kawie w Glusku czy w Łęcznej. A przecież Glusk leży o krok od Lu-

blina i warto poświęcić godzinę — dwie choćby na zobaczenie tamtejszego XVII-wiecznego Ratusza opisanego w większości szczegółowych katalogów sztuki, czy drewnianej chaty z XVIII wieku. Łęczna zaś to urzekające miasteczko, położone w odległości 24 km na północ od Lublina, na wysokiej skarpie nad Wieprzem, w miejscu, gdzie do rzeki trój wpada Swinka. Stare, targowe miasteczko z 600-letnią przeszłością. Kościół z początków XVII wieku i inne obiekty, którym katalog zabytków pow. lubelskiego poświęca bite cztery i pół strony drobnego druku. I współczesność: gospoda, w której za 8 zł 80 gr można dostać kurę w rosolu, oraz kawiarnia w starym Ratuszu, z kawą nie gorszą niż w „Lubliniance”. Nowy, duży zakład gastronomiczny już budują. Łęczna to przede wszystkim jednak meandry Wieprza, dolina rzeki i nadwieprzańskie skarpy. A woda czysta, klarowna. Dla samego spaceru nad Wieprzem warto przyjechać.

W Lublinie Łęczna jednak nie jest popularna. Przejeżdża się przez nią w drodze nad jeziora, lecz przyjeżdża specjalnie tu? Poza wędkarzami mało jest takich amatorów. Przez 23 lata po wojnie nie zdołaliśmy wyłusować ani jednej podlubelskiej miejscowości, Brigitte Bardot w ciągu jednego sezonu spopularyzowała Saint Tropez. Mamy i przykłady krajowe. W woj. kieleckim potrafiono rozreklamować turystom kilkanaście małych miasteczek. U nas zmarły przed rokiem Ryszard Schreiter, kierownik muzyczny Teatru im. Osterwy, starał się przekonywać kogo mógł o niezwykłych walorach Jakubowic Murowanych. Lecz co może zdziałać jedna osoba? Przynajmy się i my.







# Współczesna poezja gruzińska i ormiańska

Michał Kwiliwidge

## Ja i ty

Odjeżdżaj! W odjazd baw się, strasz!  
Odjeżdżasz? To nas nie rozdzieli  
Ty jesteś mną, Czy głąn tę znasz,  
co nas rozłączył się osmieli?

Rozłąkę zamyślałem sam,  
ale w niej nic nie rozumiałem.  
Zapomniać cię to nad mój stan:  
ja ciebie zawsze pamiętałem.

Mnie się wydaje śmieszna gra,  
zabawa — z tobą rozstawanie.  
Tyś — ja i między mną a mną  
żadna odległość nie powstanie.

O ty, głuptasku! Kwiaty rwij,  
spij słodko, zrywaj się z pościeli.  
Tobie się zdaje, że to ty  
idziesz Prospektem Rustaweli?

A to ja jestem. To mój wzrok  
opuszcza i podnosił przecie,  
moich znajomych słyszysz krok,  
gdy z śmiechem idą ci naprzeciw.

I tylko jedna bojaźń trwa  
i wciąż mi grozi nienawistnie:  
ty jesteś mną! Tyś — ja, tyś — ja!

A jeśli bym tak przestał istnieć?...

## Do żony

Jam towarzyski. Zawszem głodny ludzi!...  
Otaczać musi wciąż mnie brać wesola.  
To nie dlatego, by się z tobą nudził,  
ale że bez nich wytrzymać nie zdołam.

Od ludzi nie mnie nigdy nie oddali,  
chyba mnie także potrzebują oni.  
Cóż wart sam jestem! Jak sztaba ze stali  
tylko z innymi zetknąwszy się dzwonię.

## Dobroć

Wybaczyć sercu memu, bo twierdzę zuchwale,  
że w sercu dla dobroci nie ma granic wcale  
i dla was wszystkich, ludzie, bez liku i miary  
zawsze pełne jest ono współczucia i wiary.  
Co poczuję? Nie potrafię już myśleć inaczej:  
jak gospodarz się czuje na tym całym świecie,  
więc każdy w moim sercu tyle, co gość, znaczący  
i dlatego za wszystkich odpowiadam przecie.

Inni mogą się skarżyć, utyskiwać, złościć,  
lecz gospodarz nie może gniewać się na gości.

Więc, przypuścimy, zły człowiek jest z ciebie, rodaku,  
ale jesteś mym gościem i dlatego, miły,  
mimo wszystko cię kocham i to jest oznaką  
nie mojej słabości, lecz siły.

## Bogacz w tramwaju

W zatłoczonym wagonie  
widzą: mały chłopczyna  
kamyczki trzyma w dłoni  
i liczyć je  
zaczyna.

Z radością na nie patrzy,  
tryumfem wzrok mu plonie...  
Nikt od niego bogatszy  
nie jest  
w całym wagonie!

## Człowiek

Człowiek jest śladem nikłym,  
jest myślą i tworzeniem,  
pamięcią, rzeczą zwykłą  
lub nawet... zapomnieniem.

Czasami tak rozgorze  
i serce tak rozpalą,  
że przemkną meteorom  
i nic nie pozostawi.

## O wierszach

Po co pod wierszem podpisywać datę?  
Jednej się tylko z czasem sens odsłania:  
wiersz — syn epoki, w której oddźwięk spotka  
i napisany jest w chwili czytania.

Józef Noneszwili

## Świetliki

Milcząc patrzysz na rzekę ospałą,  
Noc dzisiejsza szczęśliwie się dłuży.  
A nad tobą  
jak gwiazdeczki małe  
rój świetlików  
krąg zatacza w górze.

Twoje oczy czarne zamysłone,  
O czym myślisz?

O nas? Ale o czym?  
A świetliki w włosy twe wplacone  
mogą spalić niechcący warkoczce

Owanes Sziraz

Aromat kwiatka mi powiedział:  
„Wychodź mi, przecie ja odejdę”.  
„Spiesz się — szept źródła mi powiedział —  
Pij wodę, przecie ja odejdę”.  
Ale m wzdychając odpowiedział:  
„Mili, nie wy, to ja odejdę...”

Kiedyś idąc przez pole w dzień od słońca złoty  
Pośród wczorajszych jeszcze lejów i blindaży,  
Ujrzałem nagle czaszkę i spostrzegłem oto:  
Zbudować gniazdko w niej się skowronek odważył.

O życie! I tu też znajdujesz schron godziwy,  
Nawet i w martwej czasce gnieźdzą się twoje dzieci,  
Podówczas gdy w tysiącach czaszek ludzi żywych  
Mieszka śmierć sama grożąca zagładą planecie.

Geworg Emin

Ach, jaki ziąb!  
Jak on mnie parzy!  
Jakie ostre dziś strzały zamieci!  
Ale miłość nie czeka,  
cokolwiek się zdarzy.  
Wciąż żarliwiej swe ogni roznieca.  
Tańczy Anitra przede mną,  
Ingrid z tęsknotą mnie wzywa.  
Coraz głębszy głos miłości ziemskiej  
I codziennie, codziennie odbywa  
Przepętanie me serce  
wyznaczonego biegu.  
Ach, jak okrutne są miłości ognie!  
To nie szkodzi, że krótki mój wiek  
Nad mą głową rozpostarł  
śnieżycę pochodnię.  
Tańczę, Anitro,  
tańczę tanciec zalotny...  
Placz, Ingrido, wab mi i urzekaj...  
Znajdę jeszcze ten domek samotny,  
Gdzie Solwega moja na mnie czeka.

Zima już przeszła.  
Drzewa już śnieg otrząsnęły.  
Zima już przeszła.  
Tyś smutku nie strząsnął,  
Jak dawniej z niepokojem i lękiem oglądasz  
Wiosenne drzewa.  
Która zakwitnie?  
Która  
Zmarzłe, umarłe, zabite  
I nigdy się o tym nie dowie.  
Zima już przeszła.  
Niech żyje wiosna  
I sad wiosenny!  
Tylko... ile w nim drzew,  
A ile drewna?

### Spolszczenia K. A. Jaworskiego

MICHAŁ KWILIWIDGE — liryk gruziński. Autor siedmiu zbiorów. Kilka jego książek przetłumaczono na język rosyjski (Ilum, m. in. Achmatowa, Okudława, Swierłow, Winokurow). Zbiorek „Tobie, ukochana” ukazał się po włosku w Mediolanie w 1981 r.

JÓZEF NONESZWILI — poeta gruziński. Wiersz wyjęty ze zbioru „Góry i serce”. Utwory jego tłumaczyli m. in. Antokolski, Jewtuszenko, Tichonow, Wozniesiński.

OWANES SZIRAZ — poeta ormiański ur. w r. 1934. Autor wierszy o wojnie i miłości (wzruszający cykl poświęcony matce). Pisze też wiersze refleksyjne.

GEWORG EMIN — poeta ormiański ur. w r. 1915. Pierwszy zbiorek „Przed drogą” ukazał się w r. 1949. Wiele jego książek przetłumaczono na język rosyjski i inne języki narodów radzieckich. M. in. tłumaczyli go Jewtuszenko, Okudława, Siueki.

# Co chciałem

NIEDAWNO przeczytałem w oryginale „Povidky z jedne a drugie kapsy”, czyli „Opowieści z obydwu kieszeni” Karola Capka. W zbiorze tym, stanowiącym prawdziwą ucztę dla miłośników krótkich form prozatorskich, znajduje się m. in. opowiadanie „Báánik” czyli „Poeta”. Jego pierwsze zdanie brzmi: O czwartej nad ranem na ulicy Zytńskiej samochód przejechał pijaną żebraczką i z największą szybkością uknął. Nie chodzi mi w tej chwili o treść tego świetnie napisanego opowiadania, ale o wymienioną w nim ulicę. Przypomniała mi się jej nazwa

Abidżanie, stolicy Wybrzeża Kości Słoniowej. Mówię na podstawie doświadczenia, gdyż byłem tu i tam.

A przy tym wszystkim, na każdym kroku odnosiłem wrażenie jakiegoś zadumowania, jakiejś swojskości. W Pradze znalazłem się w całym tego słowa znaczeniu dobrze. Miałem tu bowiem coś z Warszawy i coś z Krakowa, coś z Wrocławia i coś z Lublina. Chwilami nawet coś z Tarnowa i Sanoka. A że w tej mieszaninie brakowało nastrojów Szczecina lub Gdyni, no, tego nie możemy brać za złe naszym przyjaćciolom spoza Karpat...

Każdy turysta, gdy przyjedzie do Krakowa, biegnie na Wawel. Każdy



Romantyczny zaułek Starej Pragi koło Mostu Karola.

(Zdjęcie autora)

w chwili, gdy z Placu Karola skręcałem w Zytnię, aby następnie przez... Krakowską dotrzeć na Vaclavské Namesti, czyli w samo serce dzisiejszej Pragi.

Nikommu chyba nie trzeba tłumaczyć, że Vaclavské Namesti czyli Plac Wacława to dla Pragi niemal to samo co dla Krakowa linia A-B, z tą tylko różnicą, że z linii A-B widać Sukiennice, Wieżę Ratuszową i Kościół Mariacki — a z Placu Wacława z jednej strony widać secesyjny gmach Muzeum Narodowego, a tuż pod nim konny posąg św. Wacława, z drugiej zaś równie secesyjne kamienice Na Przykopie. Jest więc mniej zabytkowo, ale za to znacznie bardziej... neowowo.

Praga ma dobrą markę wśród prawdziwych turystów. Podkreślam słowo „prawdziwych”, gdyż samo pojęcie „turysta” nabrało u nas dośyć dwuznacznej treści. To, co się niejednokrotnie nazywa turystyką, w rzeczywistości graniczy z prywatnym handlem międzynarodowym. Nawiasem mówiąc utarte mniemanie, że „podróże kształcą” nie wydaje mi się słuszne. Podróżuję bowiem od dawna i dość dużo, a jednak dotychczas nie nauczyłem się co i gdzie należy kupić, aby następnie sprzedać z dobrym zyskiem. Dlatego też mam do celników stosunek raczej pozytywny, wbrew częstym wypowiedziom Pisma św. na temat przedstawicieli tego zawodu...

Zawsze też byłem zdania, że egzotyki nie musi się szukać koniecznie na antypodach i że każda podróż, choćby za tzw. miedzę, może dać bardzo wiele, pod warunkiem, że zabiera się z sobą bagaż w postaci szeroko otwartych oczu oraz zyczliwość dla świata i ludzi ten świat zamieszkujących.

Kiedy przez wiele dni wędrowałem po ulicach i uliczkach Pragi, kiedy przemierzałem stolicę Czechosłowacji od Starego Miasta po Vyzehrad i od Malej Strany po Vinohrady, kiedy popijałem mocne i dobre piwo „u Fleków” lub „u Malvazego”, wcale nie myślałem o tym, że jestem w mieście, które leży bliżej Krakowa niż np. Olsztyn, nie mówiąc już o Gdańsku. Wrażenia były równie silne jak np. w

znął turysta w Pradze biegnie na Hradczany. Przysnam się jednak, że poszedłem tam dopiero po kilku dniach. Początkowo oglądałem je z wielu punktów Pragi, m. in. ze szczytu Prasznej (czyli Prochowej) Bramy na Starym Mieście, z zielonych wzgórz Pettinu, z Vinohradów i Žižkova.

Stanawszy wreszcie pewnego dnia na hradezańskim wzgórzu, spojrzalem na leżące u mych stóp miasto i pomyślałem, że gdybym mógł, przywoźiłbym z Pragi to i owo do domu. Oczywiście nie miałem na myśli elastycznych rajtek czy czegoś w tym stylu. Chętnie jednak zarekwirowałbym romański kościół św. Jerzego oraz gotycką Salę Władysławowską z Hradczanu; wspaniałe sale biblioteki na Strachovie, odcinek Węltawy między mostami Jiraska i Karola, a na dodatek trochę uroczych zaułków Malej Strany, z tzw. Certovka na czele, Certovka, zwana słusznie „praską Wenecją”, to odnoga Węltawy z resztkami starych młynów, pełna ciszy i spokoju pobliskich ogrodów. Moglibyśmy mieć i w Krakowie taką Certovkę, gdybyśmy nie schowali pod ziemię naszej Młynówki, a także innych odnog Rudawy.

Nie jestem szczególnie miłośnikiem baroku sakralnego. Lubię jednak barok w budownictwie świeckim, a zwłaszcza pełne uroku kamieniczki prowincjonalnych miast czeskich, niemieckich lub holenderskich. Toteż nie dziwnego, że będąc w Pradze często biegałem na lewy brzeg Węltawy, aby bliżej do różnych zaułków i placów.

Muszę przyznać, że podróże budzą we mnie dążeń zabarwienie. Z każdej chciałbym przywieźć do Polski coś ładnego, choć przecież nie możemy narzekać na brak ładnych rzeczy. Niedawno złapałem się na chęć przywłaszczenia sobie kilku amsterdamskich kanałów, obecnie zaś zawałalem chęcią przywiezienia do kraju kilku ładnych budowl z Kutnej Hory, takiego czeskiego Okusza. Przede wszystkim byłaby to gotycka katedra św. Barbary z pięknymi lukami oporowymi, a także maleńki kamienny gródek. W tym drugim wypadku przeniósłbym też do mego rodzina-



# ukraść w Pradze?

Stanisław Pagaczewski

nego miasta uroczą historyczną sztuką, która oprowadza mnie po tym klejnociku gotyckiej architektury. Zabrałbym też bez chwili wahania kilka staropraszkich piwiarń i gospód, wraz z zapasami pilzneńskiego piwa.

Ale dosyć tych imperialistycznych zachcianek! Zostawmy Czechom co czeskie i cieszymy się, że tyle pięknych i ciekawych rzeczy można oglądać niemal tuż za miedzą. Podróż do Czechosłowacji dostępna jest dziś każdemu śmiertelnikowi, który postara się o pismenne zaproszenie. A lepiej przecież zobaczyć „Weitawy brzeg” własnymi oczyma, niż słuchać o nim w piosenkę.

Jedną z największych osobliwości Pragi jest słynny Most Karola, którego budowę rozpoczęto w r. 1357. Nazwę swą zawdzięcza cesarzowi Karolowi IV, jest jednak dziełem Piotra Parlera, tego samego, który zbudował katedrę na Hradczynie. Most o długości 520 m, a szerokości 10 m, zbudowany został z wielkich głazów piaskowca i urozmaicony po obydwu stronach gotyckimi wieżami, a w czasach późniejszych szeregiem rzeźb, przedstawiających postacie świętych. Rzeźby te pochodzą z XVII, XVIII i XIX stulecia. Imponujący jest widok, jaki roztacza się przed oczyma turysty idącego mostem w kierunku Hradczyny. Nagromadzenie wież, dachów i kopuł jest tu tak duże, że całość przypomina średniowieczne drzeworyty z ich nawiązaną wertykalną perspektywą. Nad dachami Malej Strany zielenią się ogrody Hradczyny, a całość wieńczy wieża katedry św. Wita, ponad którą już tylko błękit i obłoki gnane porwistym wiatrem.

Nie jest jednak moją intencją opisywanie poszczególnych zabytków Pragi. Od tego są bedekery. O Moście Karola wspominałem dlatego, że po pierwsze pominięcie go byłoby czymś w rodzaju grubej nieprzyzwoitości, po drugie zaś, że tu, na samym środku tego mostu, przypominałem sobie nagle naszą miniaturową Pragę, czyli po prostu uroczę Kłodzko, z podobnym, ale oczywiście wielokrotnie mniejszym mostem nad Nysą. I tak w sercu Starej Pragi, nad złotymi falami Wltawy, zapragnąłem raz jeszcze ujrzeć miasto nad Nysą Kłodzką. Tak, tak. Nie możemy oderwać się zupełnie od naszej ziemi, nosimy jej wspomnienie z sobą, świeżo widziane piękności i dziwy przyrównujemy do naszych; ni stąd ni zowąd w górach Kaukazu lub w Alpach wołamy z radością: „To przecież przypomina Dolinę Kościeliską”, a w średniowiecznych zaułkach Ronen odnajdujemy nastroje z samego... Przemysła.

Nie lubię zwiedzać obcych miast z otwartym przewodnikiem w ręce, nie pociągają mnie obiekty znaczone gwiazdkami. Wolę ufać swemu nosowi, który wiedzie mnie często tam, dokąd nie zaprowadziłby najbardziej dokładny bedeker czy „putiewodiciel”. Dlatego też zdarza się, że wyjeżdżam z jakiegoś miasta, nie będąc w takiej czy innej galerii, ale mając za to w oczach widok rumianków zarastających podwórko domu na przedmieściu i czując zapach smoły wyciekającej w upalny dzień z beczki porzuconej na betonie zapomnianej przystani.

W podobny właśnie sposób zwiedzałem Pragę, niezbyt często zaglądając do planu, ale za to z uporem myszkujejąc po najrozmaitszych zaułkach, podwórkach i przejściach między uliczkami. W taki też sposób odnalazłem niezwykle sklep

pana Józefa Capka, ostatniego chyba przedstawiciela prywatnej inicjatywy handlowej w Pradze. O Karolu Capku wie, a w każdym razie powinien wiedzieć każdy człowiek kulturalny. Któż jednak wie o jego skromnym imienniku Józefie? A właśnie, że wie bardzo wielu ludzi. Józef Capka stał się bowiem jedną z osobliwości starej Pragi, na równi z zabytkowymi piwiarńiami czy studzienkami. Sklep Józefa Capka, człowieka, który przekroczył już chyba osiemdziesiątkę, to niezwykle malownicze zbiorowisko wszelakiej żelaznej starzyny. Samo wyliczenie znajdujących się tu towarów przekraczałoby możliwości sprawozdawcy. W każdym razie warto wiedzieć, że w niedalekiej Pradze jest miejsce, w którym za grosze można kupić — słuchajcie, słuchajcie — takie cuda jak kantówki do okien, barokowe okucia do mebli, ruszta, śrubki, klucze, pozycytki, szkatulki, haczyki, gwóźdźle, klamki, kurki wodociągowe, samowary, lampy naftowe, popielniczki, wieszaki na kapelusze, lewatywy, kociołki, kubki, skrawki blachy, podkowy oraz sto pięćdziesiąt innych wspaniałości! Gnieździ się tu wszystko w zaułku przy gotyckiej świątyni Matki Boskiej, w pobliżu grobowca Tychona de Brache, słynnego astronoma duńskiego, który ostatnie lata swego życia spędził na dworze cesarza Rudolfa II.

Właściciel tych wspaniałości — pan Józef Capka — prowadzi księgę pamiątkową, w której można zobaczyć autografy wielu zagranicznych turystów. Na wystawie, w otoczeniu towaru, widnieją liczne wycinki z pism zagranicznych z reportażami o sklepie. Wpisałem się i ja, uszczęśliwiony możliwością zakupu czegoś, czego nie mogłem nabyć w Polsce nawet na tandecie...

Są w Pradze miejsca nie obojętne żadnemu z ludzi pióra, żadnemu z miłośników literatury. Zaliczam do nich w pierwszym rzędzie cmentarz żydowski na Vinohradach, gdzie spoczywa jeden z największych prozaików współczesności — Franz Kafka, zmarły przed 23 laty w Kierling koło Wiednia, lecz pochowany w Pradze, swym rodzinnym mieście. Należy też do nich drugi cmentarz winohradzki, będący miejscem wiecznego spoczynku Egona Erwina Kischy.

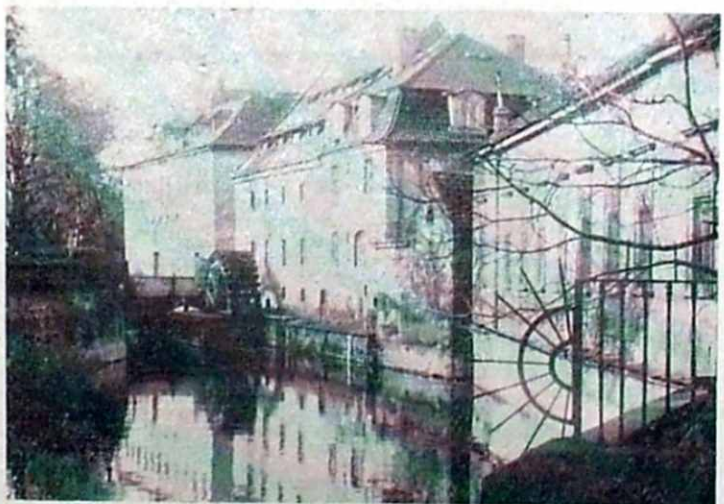
Książki Kafki i Kischy sąsiadują z sobą w mojej bibliotece. Każdy z nich jest dla mnie mistrzem w swoim rodzaju. Chętnie wracam

zarówno do „Procesu” jak i do „Meksyku”, równie często sięgam po „Listy do Mileny” jak po „Jarmark sensacji”. Ciało ich twórców również spoczywają blisko siebie. Z tą tylko różnicą, że Kafka leży na tradycyjnym żydowskim cmentarzu, zaś prochy Kischy spoczywają na cmentarzu krematoryjnym, znajdującym się w pobliżu.

Tak się złożyło, że dopiero w Pradze po raz pierwszy w życiu miałem możliwość zobaczenia cmentarza krematoryjnego. Odczuwam i doceniam melancholijny urok tradycyjnych cmentarzy, odczuwam ich prawdziwą poezję. Wiem też, że same dla siebie potrafią być prawdziwymi dziełami sztuki jako przepięknie nierzadkie „ogrody umarłych”. Ale zdaje też sobie sprawę z tego, że jesteśmy chyba u progu epoki ciapalolenia. Składa się na to zbyt wiele powodów, aby można było o nich mówić na tym miejscu. Co do mnie — nie mam zastrzeżeń w stosunku do krematoriów. Ogień przemieniający nasze ciała w garść popiołu — to piękna i wspaniała rzecz. Dlaczegoż by ogień — jeden z czterech żywiołów — miał być gorszy od ziemi?

Wrażenie, jakie wywarł pierwszy widziany cmentarz krematoryjny, nie miało w sobie domieszki smutku. Wyobraźcie sobie długi mur, pełen małych nisz, stanowiących pomieszczenie dla urn z prochami. Wyobraźcie sobie małe, kryształowe szybki, oprawne w mosiądz, a za tymi szybki spłazowane urny z prochami zmarłych... Kiedy słońce świeci, promienie jego przebiegają przez szkło, padają na metal urn, ogrzewają go. Padają też na stojące przy urnach fotografie Zmarłych oraz na małe bukietki kwiatów, które ręka żyjących zmienia od czasu do czasu. Zmarli są blisko, można ich widzieć... Grób tradycyjny zakrywa ich na zawsze przed naszym wzrokiem, strzeże ich zazdrośnie, nie pozwala na żaden kontakt. A czyż to nie jest wielka pociecha dla osamotnionych, jeżeli mogą pogłodzić dłońmi metal urny, jeżeli mogą ją widzieć w blasku słońca? Cmentarze nigdy nie są i nie mogą być wesołe — a przecież nie mogę się oprzeć wrażeniu, że cmentarz opisywany przeze mnie nie był smutny ani przygnębiający.

Opuszczając go i żegnając w nim miejsce z prochami największego reportera XX wieku — Egona Erwina Kischy — pomyślałem sobie, że chyba to także jest coś, co chętnie przeniósłbym z Pragi na rodzimą ziemię.



Certovka — zwana „praską Wenecją”. (Zdjęcie autora)

# Most

Tadeusz Wiącek

**P**IERWSZY szczerzej opatulił szyję szalem i podniósł koltnerz marynarki. Robiło się coraz chłodniej. Zapadał zmierzch, a Drugiego jeszcze nie było. Pierwszy znowu oparł się o balustradę i patrzył w ciemną wodę wpływającą pod most. — Dlaczego nie przychodzi — myślał — czyżby się rozmyślił? Ale przecież każdego dnia był tu o tej porze. Może zachorował?

Kilkanaście metrów od niego stali inni. W niewielkich grupkach — po dwóch, trzech. Pierwszy domyślał się, że rozmawiają. Znał już dobrze ich sylwetki. Przychodził co dzień. Wpatrywał się w głęboką rzekę godzinami, a potem ochodził. Zawsze brakowało im odwagi. Pierwszemu i Drugiemu też. Tylko, że oni mają przewagę nad innymi. Wczoraj przysięgli sobie, że zrobią to dziś. Żeby tylko Drugi nie stchórzył. Most okryła ciemność i Pierwszy widział ledwie zarysowane sylwetki innych.

Kroki zatrzymały się i ktoś zaczął kaszleć. Pierwszy odwrócił się, choć wiedział, że nie jest to kaszel Drugiego. Za nim stał człowiek, którego Pierwszy nigdy tu nie widział. Patrzył na siebie w milczeniu. Niespodziewanie most oświetlił mdły blask lamp. Trzeci powoli odszedł w stronę przeciwnej balustrady i teraz on pochylił się nad wodą. Wyglądało na to, że podobnie jak Pierwszy czekał na swojego towarzysza.

Ciężkie krople deszczu spadały niemal prostopadle na płyty mostu. Zaraz będzie ulewa, a Drugiego wciąż nie ma. Pierwszy wtulił kark w szalik, ale włosy przemokły mu szybką.

— Zrobimy to dzisiaj! — pytanie zabrzmiało tuż przy uchu Pierwszego.

Obok niego stał Drugi, chroniąc się przed deszczem czarnym parasolem.

— Tak postanowiliśmy — odpowiedział Pierwszy.

— Postanowienie można zmienić, bo widzisz... — Drugi chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Pierwszy stanowczo mu przerwał.

— Dziś nie już nie zmienimy. Od ilu dni zmieniamy postanowienie? Chcesz żebyśmy byli jak tamci?

— Masz rację, tylko...

— Znowu szukasz wykrętów. Mam tego dość. Zawsze coś sobie wykombinujesz.

— Nie denerwuj się, przecież już podjąłem decyzję. Powiem ci, dlaczego nie chcę dzisiaj.

— Nie mnie to nie obchodzi. Chcesz się wymigać.

— Nie. Postanowienie jest postanowieniem, ale dziś nie mogę. Jutro mam ostatni egzamin. Muszę go zdać jak poprzednie i dopiero wtedy...

Włosy Pierwszego przygłębły do czoła. Brudna woda zalewała buty.

— Wiesz, kto ty jesteś? Pęta. Pęta nie człowiek. Człowiek nie zmienia postanowień. Nawet, gdy go do tego zmuszają.

— Ten egzamin...

— Durniu! Po diabła ci zdany egzamin skoro jutro już cię nie będzie.

— Nie nie rozumiesz. Ten egzamin muszę zdać, żeby nie myśleli, że zrobiłem to dlatego, bo oblałem.

— Naprawdę obchodzi cię, co o tobie pomyślą?

— Postuchaj. Jak ci się wydaje — po co ja chcę to zrobić?

— To nieważne. Na tym moście nie wolno o to pytać. Pierwszy skrył głowę pod parasolem, ale czuł ściekającą wodę po plecach.

— Ważne jest to, że znowu zmieniasz postanowienie. Jesteś tchórzem, szmatą. Dlaczego muszę to zrobić razem z tobą?

— Możesz sobie poszukać kogoś innego — odparł Drugi.

— Nie chcę. Postanowiliśmy zrobić to razem.

— W porządku, ale jutro.

— Zrobimy to dziś.

Pierwszy trzymał Drugiego za rękę.

— Jutro mogę się rozchorować. Cholernie zmarłem. Potem pomyśl, że zrobiłem to jak byłem chory.

— A więc tobie też zależy na tym, co pomyślą.

— Nie mogę tego zrobić z żadnego powodu. Tak samo jak ty i wszyscy inni.

— Odlóżmy to do jutra.

Pierwszy pociągnął Drugiego do balustrady.

— Zrobimy to natychmiast — prosił — inaczej będziemy tacy jak inni.

— A może któryś z nich zrobiłby to z tobą dzisiaj?

— Kiedy ja muszę z tobą!

— Jak uważasz. Na mnie już czas. Chciałbym jeszcze trochę powtórzyć przed egzaminem.

— Dlaczego postanowiłem zrobić to z tobą? Zawiodłeś mnie.

— Nie na to nie poradzę. Do jutra.

Drugi ruszył w głąb mostu. Pierwszy widział pochylone plecy pod parasolem. Przypomniał sobie o Trzecim. Ten stał nadal po drugiej stronie mostu. Pierwszy ruszył w jego stronę, a tamten, jakby słysząc jego kroki, odwrócił się gwałtownie.

— Dobry wieczór — powiedział grzecznie Pierwszy, a tamten odpowiedział i patrzył na niego uważnie.

— Czy pan chce to zrobić dzisiaj? — zapytał Pierwszy.

— Co?

— No, przecież wie pan. Na tym moście każdy myśli o tym, żeby to zrobić.

— Odważ się. Czekam na dziewczynę.

Pierwszy wybuchnął głośnym śmiechem. Śmiał się jeszcze, gdy biegł przez kałużę mostu mijając stojące, nieliczne już grupki innych. U wylotu mostu zauważył Drugiego. Podszedł do niego.

— Nie udało się? — zapytał Drugi.

— On nie był innym. Wziął mnie za...

Drugi też się roześmiał. Pierwszy podał mu rękę.

— Do zobaczenia. Jutro zrobimy to na pewno.

— Nieodwołalnie. Czy zostawisz jakąś list wyjaśniający?

— Po co? Komu to potrzebne?

Prokuratorze powiedz nam czy — w takich warunkach spokojnie masz snąć? Karabet „Yeti”, Szopka 1967 r.

‘Jest w niej dobry instynkt kabaretu, świadomością czym jest, czym powinien być ten gatunek. I jest wreszcie sporo inwencji reżyserskiej zapewniającej tekstowi Wiesława Barańskiego, Jana Goca,

**Szopka kielecka**  
**Tradycja i komplementy**

Szymona Szymańskiego taktowności i zabawną oprawę. Poza paroma potknięciami (kuplet o Fornalu i Podlewskim, o wprowadzeniu wskrzeszonego ducha szopkarza oraz kuplet o rzeźni), które rażą nasz smak nadmierną dokładnością aby nie napisać: trywialnością relacji — jest to kulturalna i rzeźna forma kabaretowa, skrojona według wszelkich prawideł. Tak rzeźna i tak kulturalna, że chwiliami nudna — tyle w niej zamaskowanych komplementów i duserów. Niby to sa-

tyra, niby drwiła a w istocie — panegiryk, dyskretna reklama kieleckich notabli, którzy zjawiają się na scenie, mówią o sobie najczęściej, bądźmy szczerzy, mile rzeczy, po czym znikają, aby ustąpić miej-

scą innym. Taka jest zbyt familiarna i zbyt może łagodna zasada tej szopki. Wszyscy w niej tacy sympatyczni. Wszyscy tacy dobrzy. Czasem, co prawda, temperament poniesie wykonawców: pojawia się wówczas weale ostry pazur — jak chociażby w znakomitym kupiecie Jarosława Iwaszkiewicza. Czasem drwiła, choć nie tak zabójcza, jak w wypadku zasłużonego posła — prezesa, jest jednak dostatecznie cięta, aby rozśmieszyć nas i podnieść wyraźnie temperaturę sali —

Jan Paweł Gawlik

jak w zabawnej scenie poświęconej drugiemu, tym razem kieleckiemu prezesowi — p. Hebdzie. Są to jednak raczej wyjątki w dobroduszej, atmosferze wieczoru, która niepokoi i zastanawia, bo coż to za satyra, która, panie święty, nikomu sadza za skórę nie zależe? Iwaszkiewicz? Hebda? Kozub? Owszem — to już coś jest — ale reszta? Michniewski? Banasik? Osterczy? Smale? Pierzchała? Wszyscy ci działacze, luminarze kieleckiej kultury, przemysłu, sportu? O Michniewskim słowa złego nie powiem: należy mu się w końcu kilka ciepłych zdań, choćby za „Stara” i Starachowice — a może (kto wie?) i kieleckie motocykle z rozpędu postawi na nogi, o fabrykę zadba i w ten sposób miastu się przysłuży; nie trzeba ich skąpić i Krystynie Firmanty, jako że kobieta i to, mój Boże, jaka kobieta. Na pewno zasługują na względy i pozostali panowie, ale to w końcu nie święty Mikołaj, a kabaret, nie rzewna opowieść o właścicielach i zasługach, ale tzw. „ostrze sa-

tyry”, więc może trochę ostrzej i bardziej bez pardonu?

Ciekawa jest geografia tych trafień. Kabaret „Yeti” działa na przekór prawom balistyki, wbrew doświadczeniu wielu broni, wojen i teoretyków zbrojnego rzemiosła: im dalej mierzy, tym celniej trafia. Im postać bardziej abstrakcyjna — tym szpilą lepiej ułożowana. Stąd może powodzenie drugiego, mniej licznego, ale jakże sympatycznego nurtu szopki — nurtu satyry społecznej i obyczajowej. Kuplety tego cyklu (świetne piosenki „bananowych panien śpiewane przez córki działacza, mankwiłca, pracnik”) i zabawne aluzje do różnych bolączek i zjawisk naszego życia, pozwalające operować symbolem a nie nazwiskiem, nadają kieleckiej teatralizacji rumieńce aktualności — żywsze i ciekawsze od parady podjeżdżające dobrodusznych postaci.

(Dokończenie na str. 11)



# Lubelskie „Echo”

Mirosław Derecki

**C**ZTERDZIESIĄT lat nieprzerwanej pracy twórczej. Siedemset występów tylko w okresie powojennym, w tym sto sześćdziesiąt koncertów własnych. Stała współpraca z Filharmonią Lubelską. Repertuar — od pieśni ludowych po „Requiem” Mozarta i „IX Symfonia” Beethovena. Wyjazdy i sukcesy zagraniczne. Państwowa Nagroda II stopnia za całokształt działalności artystycznej i wychowawczej w 1967 r. Nagrody artystyczne I stopnia MRN i WRN... Oto — w skrócie — dorobek artystyczny i rzeczowy Towarzystwa Śpiewaczego „Echo” w Lublinie.

Męski i mieszany chór „Echa” znane są dobrze lubelskiej publiczności muzycznej, a słuchali ich także niejednokrotnie mieszkańcy województwa podczas koncertów dawanych w miasteczkach, często — we wsiach. W ubiegłym roku bawili w Lublinie bułgarski chór „Rodni Zwuci”, podczas gdy „Echo” śpiewało „wymienne” w Warnie. Pomysł tej wymiany powstał w 1966 r. w Debreczynie na Węgrzech, na IV Międzynarodowym Festiwalu Chórów Amatorskich, im. Beli Bartoka, w którym brało udział 30 chórów z 12 państw. „Echo” i „Rodni Zwuci” podzieliły się wówczas pierwszymi nagrodami: męski chór „Echa” zdobył złoty medal, a chór mieszany — srebrny, złoty medal w kategorii chórów mieszanych przyznano zespołowi „Rodni Zwuci”.

Historia „Echa” to cały wielki rozdział w kulturalnym życiu Lublina. To także przykład, jak pasja artystyczna i prawdziwe poświęcenie się sztuce przez amatorów, ludzi o różnych zawodach i pozornie mało ze sobą mających wspólnego — od robotnika do adwokata — może dać w efekcie zespół artystyczny stojący już nie na wyżynach amatorstwa, ale w równym rzędzie z zawodowcami.

Przed kilku laty, Andrzej Cwojdzinski, ówczesny dyrektor Filharmonii Lubelskiej tak pisał o przygotowywaniu z chórem „Requiem” Mozarta: „Czy starczy wyprawdzie wypróbowanej na dziełach operowych — muzykalności, aby właściwie wykonać ten utwór tak niepodobny do innych dzieł, z właściwymi mu kontrastami agogicznymi i dynamicznymi, szalonym zróżnicowaniem wyrazu poszczególnych części (...) Czy chór potrafi wydobyc prawdziwe tematy w niezwykłej trudnej podwójnej fudze, z którą to formą właśnie w „Requiem” spoty-

ka się chór po raz pierwszy? I dalej, po pełnym sukcesie... Wykonanie na takim poziomie predestynuje ten amatorski zespół do wykonywania wszelkich innych, największych nawet dzieł oratoryjnych i kantatowych. Był to jeszcze jeden dowód, że dla artystów nie są najważniejsze bodźce ekonomiczne, ale wielkość dzieła — dobra muzyka zawsze potrafi przemościć do wyobraźni artysty i potrafi zmusić go i zachęcić do największego wysiłku potrzebnego do wykonania dzieła. Zresztą niedługo później znalazło to potwierdzenie przy wykonywaniu po raz pierwszy przez chór „IX Symfonii” Beethovena (...). Dlatego też w roku bieżącym ustawiliśmy bez obawy do repertuaru chóru „Pamięć wg Św. Mateusza” — J. S. Bacha i „Stworzenie świata” — Haydna...

Spójrzmy na pierwszy plakat chóru „Echo” zachowany w archiwach Towarzystwa. Działo się to w środę, dnia 8 maja 1929 r. W sali Lubelskiego Towarzystwa Muzycznego miał się odbyć Inauguracyjny Koncert (wieczór pieśni ludowych) nowo powstałego Towarzystwa Śpiewaczego. Występują chór męski i mieszany pod batutą prof. Faustyna Kulczyckiego. W programie pieśni Moniuszki, Niewiadomskiego, Kazuro, Zelenieckiego, Lachmana.

Niewątpliwie musiało to być duże wydarzenie w życiu kulturalnym ówczesnego Lublina. Występ spotkał się z uznaniem sfer muzycznych — pisały miejscowe gazety — jak również z pełnym zrozumieniem ze strony społeczeństwa, które wypełniło po brzegi salę Towarzystwa Muzycznego. Oklaskiwany zespół liczył sobie wówczas około 8 miesięcy istnienia — kilku młodych miłośników śpiewu z Bronisławem Andrzejewskim i Franciszkiem Litwińskim na czele zawiązało w lipcu 1928 r. Komitet Organizacyjny, a we wrześniu rozpoczęły się pierwsze próby 33-osobowego zespołu. Ale kto mógł wówczas przypuszczać, że „Echo” kiedyś dobiegnie czterdziestki i w swoim wieku męskim sięgnie po dzieła największych kompozytorów świata? Zespoły amatorskie rozpadają się równie łatwo i często, jak powstają. Tylko bardzo nieliczne udaje się wrosnąć na stałe w życie artystyczne regionu, a do zupełnie wyjątków należą te, które można po pewnym czasie określić mianem „instytucji artystycznych”. „Echu” udało się zrealizować młodzieńcze marzenia jego założycieli. Pomimo wielu niesprzyjających warunków zespół stale roz-



Fot. Archiwum

wijał się. Nawet w czasach okupacji, gdy dla ocalenia swego dobytku musiał oficjalnie ulec rozwiązaniu i „zejść do podziemia”, a liczebność chóru spadała do... siedmiu osób.

Latem 1938 r. chór wyjechał po raz pierwszy w historii swego istnienia za granicę na Węgry, na zaproszenie Krajowego Związku Chórów Węgierskich. Na zlocie chórów węgierskich w Szekesfehervar zdobył nagrodę honorową Związku — srebrny ryngraf, oraz srebrny puchar — nagrodę miasta Szekesfehervar. Droga do dalszych sukcesów stała otworem. Renomowany już zespół wziął udział w czerwcu 1939 r. w Festiwalu Pieśni Polskiej zorganizowanym w Lublinie przez Związek Polskich Stowarzyszeń Śpiewaczych i Muzycznych, z okazji dni Lublina i Lubelszczyzny. Festiwal zgromadził wówczas 50 chórów, kapel i zespołów teatralnych z województwa. I to był ostatni występ „Echa” w wolnej Polsce...

Następny „występ” miał się odbyć w zupełnie odmiennych warunkach i okolicznościach. 26 października 1939 r. podczas pogrzebu poległego w kampanii wrześniowej członka zespołu i oficera WP Antoniego Freyberga 7-osobowy zespół odśpiewał nad mogiłą kolegi utwory „Sędzia wieczny” i „Requiem”...

Władze okupacyjne chciały w oparciu o „Echo” stworzyć reprezentacyjny chór „dystryktu lubelskiego”. Nic z tego nie wyszło — „Echo”, jak już wspomniano, o-

ficjalnie przestało istnieć. Co wcale nie znaczy, że zawiesiło swoją działalność. Występy odbywały się początkowo w szpitalach dla rannych polskich żołnierzy a następnie w kościołach. Zespół znowu wzrósł liczebnie. Musiano w tym okresie przestać się w znacznej mierze na repertuar religijny. Był on jednak doborany pod specjalnym kątem: utwory „Ufajcie” czy „Bogurodzica” wywoływały wśród słuchaczy nie tylko religijne doznania... Chór pracował wówczas pod kierunkiem swego wieloletniego w następie dyrygenta, prof. Tadeusza Chyły oraz Zygmunta Todysa. Z czasem powstał kwartet mieszany i orkiestra smyczkowa. Dawano występy na rzecz RGO i PCK, występowano w miasteczkach i wsiach. Tak więc czas okupacji nie przerwał działalności „Echa”. Samych tylko prób zespołu naliczono 276.

1 sierpnia 1944 r. zarząd chóru objął w ponowne posiadanie swój lokal w gmachu Towarzystwa Muzycznego, a już 24 września o godzinie 17.30 odbył się pierwszy w wyzwolonym Lublinie koncert „Echa”. Otworzyła go „Kantata do Wolności” Tadeusza Chyły. Zaczął się trzeci etap twórczy.

W latach pięćdziesiątych „Echo” nie rezygnując z dotychczasowego repertuaru wprowadziło również do niego operomontaże; z chórem występuje szereg solistów o ogólnopolskiej i światowej sławie. Od 1954 r. datuje się ścisła współpraca z Filharmonią Lubelską. Nie

**P**O TORUNSKICH i gdańskich sukcesach spektakli obcości, teatru epickiego etc. nie tylko figurują w teorii Brechta, ale i zostały zrealizowane w przeważającej części jego dzieła dramatycznego, a „Mutter Courage” jest, bodaj na równi z „Operą za trzy grosze”, najwymowniejszym tego dowodem.

Dla każdego, kto zadał sobie trud przeczytania najwybitniejszej sztuki Bertolta Brechta i kto śledził

przeżyć faktowi, że wymienione wyżej pojęcia tzw. gry z dystansem, efektu obcości, teatru epickiego etc. nie tylko figurują w teorii Brechta, ale i zostały zrealizowane w przeważającej części jego dzieła dramatycznego, a „Mutter Courage” jest, bodaj na równi z „Operą za trzy grosze”, najwymowniejszym tego dowodem.

Dla każdego, kto zadał sobie trud przeczytania najwybitniejszej sztuki Bertolta Brechta i kto śledził

realizmu, a oba poddane wpływowi ekspresjonizmu. Występują tu jako integralne składniki: subtelna metafora i jarmarczna karykatura, groteskowa deformacja i symboliczne uogólnienie. Pojawia się alegoria i parodia, misterium i kabaret, pantomima i żywy obraz, mówienie naturalistyczne i przemawianie patetyczne, recytacja, melodeklamacja, pieśń i chóry, jazz i chorały, muzyka uliczna i kameralna, podwórzowa i atonalna, son-

Czyli że reżyser musi brać sztukę Brechta, jak to się mówi, z dobrodziejstwem inwentarza, i w sensie efektów inscenizacyjnych. Proponuję więc zastąpić w naszym wypadku deklarację „bliżej Brechta” prostą i istotniejszą definicją „blisko Brechta”, albowiem spektakl Kazimierza Brauna pozostaje najzupełniej wierny konwencji brechtowskiej. Toż nawet scenografia Jerzego Toruńczyka wywołuje w pamięci wskazówki do „Kariery Artura Ui”, gdzie czytamy: „Można na przykład posługiwać się postrzępionymi, zachlapanymi wapnem zastolami, spryskanymi czerwienią koloru bydlęcej krwi. Można też użyć paoramicznie pomalowanych prospektów...”

Nie chcę jednakże powiedzieć, iż nie będąc odkrywcą w zakresie twórczości projekt Toruńczyka nie robi zaszczytu swemu autorowi harmonijnym układem elementów. Tak się rzecz ma i z reżyserią lubelskiej „Matki Courage”. Spektakl Kazimierza Brauna jest fachowo, kulturalnie skonstruowany z elementów danych przez Brechta. I właśnie w taktywnym ich wykorzystaniu należy odnotować niejedną szczytną myśl.

Przed wszystkim godne są aplauzu sytuacje. Układają się one permanentnie w wizje malarskie. Interesująco potraktował reżyser skierowane bezpośrednio do widza informacje. Wprawdzie te mówione didaskalia nie mają wdziałku prymitywnych didaskaliów „Chwałebnego Zmarłychwianina”, lecz „wymiana” zapowiadaczy miejsca, czasu i wydarzeń skutecznie rozbiła monotonię częstotliwych wirozów „narratora”.

Nie byłoby jakąś zasługą reżysera i wykonawców jest precyzyjne zróżnicowanie charakteru songów. Kilka z nich miało szczególnie dobre brzmienie i interpretację: kunstowny song Yvette o fraternizacji, parafanicki song Kapelana, song Kucharza, utrzymany w żebra-czym tonie, wreszcie — przejmujący moment spektaklu, kołysanka Matki Courage, śpiewająca nad ciałem zabitej córki w pozycji, która przypomina Pieta Michała Anioła.

Wypowiedź programowa „Bliżej Brechta” sugeruje, jakoby istniały dziś z jednej strony sztuki wielkiego dramaturga i pamięć po jego praktyce inscenizacyjnej, z drugiej zaś strony jego teorii. Śladem Erwina Axera odcina się K. Braun zdecydowanie od bezmyślnych aktorów, reżyserów-głupców, krytyków-frazeologów, zachylających się takimi pojęciami, jak gra z dystansem, efekt obcości, dramat epicki itp. Otóż prawdą jest niezbitą, iż teoria Brechta stała się w pewnym momencie bodźcem do zonglowania pustymi frazesami i hasłkami, powiem więcej — narobiła ona niemało spustoszeń tam, gdzie usilowano stosować ją mechanicznie do utworów o poetyce odmiennie od brechtowskiej, powodując zamieszanie zwłaszcza w kręgach młodzieży aktorskiej źle pojętym postulatami „stania obok roli”. Niemniej przeto wytyczanie linii granicznej między sformułowaniami teoretycznymi Brechta a jego pisarstwem i twórczością inscenizacyjną byłoby zadaniem raczej niewdzięcznym. Trudno bowiem za-

## Blisko Brechta

Maria Bechcyc-Rudnicka

nad jego „Małym Organonem dla teatru” (jak śledziliśmy w Teatrze Osterwy za milego dyrektora Lorenowicza), integralność Brechta — teoretyka a Brechta — twórcy artysty nie ulega wątpliwości. Toteż próby przeciwstawienia Brechta Brechtowi każą po trosze myśleć o zarysowującej się tendencji świata reżyserskiego do wygospodarowania sobie w spuściznie Brechtowej większego obszaru inscenizacyjnego.

Dążność ta będzie jednak napotykała trudności do prostu dlatego, że sam Brecht jest w swym dramaturgii pisarstwem zarazem pełnym inwencji inscenizator. By nie symulować tu żadnych „odkryć” recenzentki, posłużę się otwarciem gotowym określeniem środków artystycznych Brechta. Cytując:

W teatrze Brechta stale pomieszane są bardzo różnorodne i bardzo różnowartościowe elementy. Współ-  
żują tu ze sobą naturalizm obok

gi i ballady, dużą rolę odgrywają kurtynki i proscenium, scena obrótowa i napisy filmowe.

Tak syntetyzował znany krytyk warszawski w r. 1953, starając się w miarę sił, przy pozornym potępieniu „języka ekspresjonistycznego” Brechta, dać pojęcie o bogactwie jego środków teatralnych. I cóż do tego bogactwa może jeszcze dodać dzisiaj reżyser chcąc być rzekomo bliżej Brechta-dramaturga wbrew teoretykowi? Albo co mogłby ująć, by stać się całkiem oryginalnym? Spróbujcie wyrzec się w „Matce Courage” wszelkich apostrofów do widza, informacji, songów — słowem efektu wyobcowania, mającego na celu paury w przeżyciu przeznaczony na zastanowienie się nad myślą — spróbujcie, a rzecz się rozpadnie na kawałki, akcja, budowa nie są przeciwieństwami stroną sztuk Bertolta Brechta, zresztą potrafił dawać sobie radę bez tych czynników dramatycznych.

pominajmy też, że songi są efektem najbardziej unowocześniającym spektakl pod względem artystycznym dzięki fenomenalnemu podkładowi muzycznemu Paula Dessau.

Matkę Courage gra nowa na lubelskim gruncie artystka — Sidonia Blasińska, której talent należy szacować tym wyżej, im mniej predestynuje ją na razie do tej roli zewnętrzna aparycja. Sądzę, iż nie do pogardzenia byłoby w tych warunkach zastosowanie już od pierwszego aktu charakterystyki nieco postarzałego. Talent, powtarzam, i doświadczenia warsztatowe pozwoliły jednak Sidonii Blasińskiej wygrać całą gamę barw, jakimi Brecht namalował postać Anny.

Wzruszała (uwolniona od „efektu obcości”) pocelwa niemowa Katarzyna w wykonaniu Irany Oleckiej, może też za młodzieutkiej do tej roli. Gdy jednak chodzi o postać w jakimś sensie pozytywnej, nie róbmy zarzutu z nadmiaru wdzięku. Uroda „umotywowana” ujmowała Yvette Haliny Kazimierskiej. Druga ofiara wojny (i chyba w ogóle ustroju kapitalistycznego), dziewczyna lekkich obyczajów, została nakreślona z chwałobnie staromodnym umiarem. Trochę przerysował „na świecko” Kapelana Włodzimierz Wiszniewski, dodając za to spektaklowi relaksowej wesołości, której na ogół nie wykrzesano zbyt dużo z Brechtowego tekstu. Właściwie poczucie humoru przejawiał jednak Jan Bogdół w roli Kucharza. Natomiast Schweitzerka i Ellifa pokazano, że tak powiem, „w pomieszczeniu”. Ellif — gra go Piotr Brzeziński — wydaje się nie mądrego od młodszego brata, którego Aleksander Iwaniec zaprezentował na wstępie raczej jako łobuziaka czy też opętanego.

Z tłumy żołnierzy i „cywilów”, stonujących żywe „Ho dia” dzieł „Matki Courage” i jej dzieci, wyłaniają się najwzruszającej postaci, stworzone przez Leopolda Matuszaka, Macieja Polakiego, Zofię Stefaniak, Krzysztofa Ziembickiego i Stanisława Olejarkina.

Pokazano „Matkę Courage” Lublinowi z kilkuletnim — żeby nie powiedzieć kilkunastoletnim opóźnieniem, jeszcze i dzisiaj jednak ta poezja jest bardzo przydatna dla akcji obywatelskiej, bo teatr Brechta, nie będąc, wbrew różnym sugestiom, „intelektualny”, jest na pewno znakomitym teatrem popularyzacyjnym i widowiskowym.



„NOWE ATENY” NA NOWO WYDANE

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze z „Kamenu” z 21.1. br. ukazała się recenzja pióra p. Bohdana Królakowskiego z „Nowych Aten”...

Wreszcie sprawa drobna: imaginacyjny portret autora piórka Sz. Kobyliańskiego, oparty na dewiacji „Bentl paupers spiritus”...

Najpięknie wtedy ukazał się, he-realdzian, listy pisał, przetrwał i albo Korońskim, albo Lubieckim, Ładzi, Grabi...

A teraz pozwolę, jeśli satyra jest rzeczą pożądaną.

Wydanie krakowskie „Nowych Aten” rozumiałem bowiem z gruntu satyryczne. Umieściłem tedy nie tylko to „obobolawienie ubodzy duchem”...

Przyznaje zresztą sam p. Królakowski, że za swoje „100 zł miał... parę godzin śmiechu”...

Na koniec p. Królakowski stwierdza, co następuje:

„Dla kogo te książki wydano? ... Brano... chyba pod uwagę przeciwnych zadaczy programów telewizyjnych...”

„Zadacze telewizyjne”, zwałaczo ci, którzy uchylają Eureka, wykłady Wzniechły TV, prelekcje profesorów...

Słowem obecne ukasztowanie „Nowych Aten”, spełniających rolę nie tylko pióruki rozmieszczającej na kilka godzin...

Szymon Kobyliański Warszawa

A herbem Należć pieczętowali się jako Chmielowie, nie Chmielowsky.

„SZTUKA TO PIĘKNO”

Szanowna Redakcjo!

Na drugiej stronie waszego pisma oglądam, jak chętna pozwoili, różne obrazy, ale powiem prawdę, że nie z tego nie rozumiem. Jakżeś kota i linie...

Stanisław Łopata Lublin

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

Białostocki oddział Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich liczy już ponad 50 lat istnienia...

W salach BWA w Sopocie otwarto 3 indywidualne wystawy malarstwa artystów białostockich...

Jednym z najciekawszych amatorskich zespołów artystycznych Białostocki jest Teatr Poezji „Meluzyna”...

Białystok i Lublin „wymieniają” dyrygentów. Do Lublina wyjechał dyrektor Białostockiej Orkiestry Symfonicznej...

W sali Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej koncertowała amerykańska skrzypaczka Sylvia Rosenberg...

KIELCE

W krakowskiej galerii „Arkady” otwarto wystawę malarstwa kieleckiego artysty Zbigniewa Kurkowskiego...

Na półkach księgarskich ukazały się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej „Studia Sandomierskie”...

W najbliższym sezonie letnim kuracje w Busku-Zdroju mają zostać podane dodatkowo w „terapii kulturalnej”...

Smak klubowej kawy

(Ciąg dalszy ze str. 3)

uczestniczyli w nich ludzie odpowiedzialni; nierzadko pomijano najbardziej wartościowych społeczników.

Konsekwencje błędnych decyzji organizacyjnych wychodzą obecnie na jaw szczególnie w wypadku rad klubów. Założenie było nawet sprytnie i rokowało dobre następstwa...

woduje zastrzeżeń. Tak np. jest w Pożogu.

Powazne obawy budzi także stosunek przywódców gromadzkich rad narodowych do wiejskiej kultury. Poza wyjątkami jest to stosunek obojętny, a czym najdowdniej świadczy fakt, że pytanie ankiety...

Kolejne nieporozumienia i trudności wynikają z nieczyłowego ustalenia statusu gospodarzy klubów. Ich rola nie ogranicza się do sprzedawania gazet i pasty do zębów...

Nagroda to nie tylko pieniądze

(Dokończenie ze str. 5)

— na nagrody II stopnia i wyróżnienia nie już prawie nie zostawało. Z ciężkim sercem zdecydowali więc, że nagród I stopnia w ogóle nie będzie...

Oparcie zasady podziału limitów finansowych dla poszczególnych województw na owym „potencjale technicznym” też budzi zastrzeżenia. Po pierwsze — co to znaczy „potencjał techniczny”?

Władze NOT mogą powiedzieć, że wybrzydzą, szkodzą idei i że w ogóle jestem przeciw. Nie bardziej fałszywego. Raz jeszcze gorąco popieram utworzenie całego funduszu nagród...

na zasadzie terytorialnej, ale branżowej. Przecież żadne województwo nie jest samodzielną jednostką administracyjną...

I dlatego proponuję, aby wnioski o nagrody z zarządów wojewódzkich stowarzyszeń technicznych wędrowały do zarządów głównych i tam były rozpatrywane...

Proponowany system branżowy wymagać będzie od zarządów głównych stowarzyszeń technicznych dużego nakładu pracy...

Tradycja i komplementy

(Dokończenie ze str. 9)

Szkoda, że jest tego tak mało, szkoda, że tylko o prokuratorach i tylko o murarach (bardzo dobry Jan Gocł)...

Postęp nie tylko w ofiarach, tj. chciałem napisać modelach tej, płatej już z kolei, szopki, czy dla ścisłości i w modelach jej społecznego nurtu...

spotkań z aktorami i literatami. Jaki efekt przyniesie ta terapia, pokaże przyszłość.

W Kadmierny Wielkiej zostanie w bieżącym roku przekształcona do użytku sala widowiskowa na 600 widzów...

LUBLIN

W Muzeum na Majdanku otwarto wystawę projektów pomnika na Majdanku. Można tam obejrzeć jedenaście najlepszych prac...

W Lublinie odbył się wojewódzki zjazd młodych rolników. W dyskusji zwrócono uwagę na konieczność systematycznego szkolenia młodych rolników...

Ekzekutywa KW PZPR na jednym ze swoich ostatnich posiedzeń wysłuchała informacji WOPP o realizacji szkolenia partyjnego w latach 1967/1968...

„Głos FSC” wychodzi już od 18 lat. Ostatnio ukazał się 500 numer tego interesującego pisma zakładowego.

W Lublinie dzięki staraniom Akademickiej Komisji PKPS powstały trzy kluby starszego człowieka. W klubach odbywają się spotkania towarzyskie...

nie zdał egzaminu. Kilkogodzinne wykłady, raz w miesiącu w mieście powiatowym, na tematy organizacyjno-handlowe i kulturalno-oświatowe...

Tak w ogólnych zarysach przedstawia się dzień dzisiejszy wiejskiego ruchu klubowego. Stwarzając wiele faktów, które zmieniają na lepsze oblicze wsi lubelskiej...

Także dotychczasowy system szkolenia gospodarzy według programów opracowanych przez CPARA

Proponowany system branżowy wymagać będzie od zarządów głównych stowarzyszeń technicznych dużego nakładu pracy, co czyniły dotychczas zarządy wojewódzkie.

Proponowany system branżowy wymagać będzie od zarządów głównych stowarzyszeń technicznych dużego nakładu pracy...

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielicki, Jerzy Dostalni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny)...

Informacji w sprawie prenumeraty udzielać placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławieckie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Korespondencje prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131

Zam. 509, 14.11.83, C-4.

Jan Paweł Gawlik

Kamena str. 11



# Z ŻYCIA NIZIETE

## Święci

**N**IEDAWNO Telewizja Polska chciała nadać audycję poświęconą przeszeptaniom. Audycja nie doszła jednak do skutku. Badania nad przeszeptami trwają od dawna. Zanim lekarze zdecydowali się przystąpić do ratowania życia ludzkiego przy pomocy przeszeptu, musieli przeprowadzić tysiące eksperymentów na zwierzętach. W audycji zamierzano pokazać kilka takich eksperymentów. Skończyło się na dobrych chęciach. Przeciwnicy audycji zaprotestowali. Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt. Telewizja znalazła się pod presją i audycję odwołała.

Ostatnie sensacyjne operacje chirurgów wzbudziły wśród ludzi falę zainteresowania postępnymi medycyny. Człowiek nigdy nie mógł pogodzić się z myślą, że musi umierać wskutek defektu jednego z organów, awarii jednej części organizmu, w pełni sił

twórczych i fizycznych. Pierwsze przeszepty zasygnalizowały przekroczenie bariery, nie pozwalającej dotąd na ratowanie organizmu, w którym nie pozostało już jedno kółko. Kiedyś sensacje wzbudziło pierwsze przeszczepienie nerki. Kilka miesięcy temu wybuchła sprzeczka o to, kto rozpoczął w Polsce ten zabieg. Zapomniano o tym, bowiem przeszczepianie nerki należy dziś do zwykłej, codziennej praktyki polskich szpitali.

Opinia przyjmowała te sukcesy z zyczliwością, ale i ze spokojem. Dopiero przeszczepienie serca, które zdołała sobie sprawę, że medycyna weszła na obszar, gdzie wszystko jest możliwe.

Na lamach pism rozwinęła się dyskusja. Czy dr Barnard miał prawo przeszczepić serce? Czy jeden człowiek zasługuje na otrzymanie serca drugiego człowieka? Kiedy można człowiekowi zabrać serce? Jaka jest granica ludzkiego życia? Ludzie, którzy dotąd nie interesowali się tymi sprawami, zaczęli z przejęciem sekundować sporom, które rozgorzały wśród naukowców. „Kurier Polski” zachęcił czytelników do przysyłania listów na ten temat. „Swee córce oddałabym każdą część ciała, gdyby to było potrzebne” — pisze jakaś matka. „Ludzie, nie wierzcie tym bzdurkom, kto to widział, żeby dorosły dawał się nabierać na jakieś przeszepty? Nigdy czegoś takiego nie było i nie będzie” — twierdzi inna czytelniczka.

Telewizja Polska chciała zapoznać ludzi z obecnym stanem badań nad przeszeptami. Pokazała, w jaki sposób naukowcy rozwiązują skomplikowany problem, jak walczą o życie, przeciw śmierci, niepotrzebnej śmierci. Włączyła do dyskusji, to co jest najważniejsze: wiedzę o przedmiocie. Zaproszono Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt.

Lubię zwierzęta. Lubię przyrodę. Szanuję zwierzęta, co mnie otacza. Nie to wszystko, co mnie otacza. Nie to wszystko, co mnie nie niszczy pokroćców w wagonach kolejowych, nie zaśmieca ulic. Jestem człowiekiem, którego obce są apoplekcyjne skłonności, poza — oczywiście — wyśmienianiem niedorzeczności w naszym życiu. Taką niedorzecznością jest rezygnacja telewizji z nadania zapowiedzianej audycji. O kogo bowiem, o czyje dobro chodziło autorom protestów?

Dziwna to była reakcja. Jesteśmy krajem, w którym pewne zwyczaje zacierają o pruderię. Nie puszczamy na ekran telewizyjny filmu, w którym zwierzęta zjeżdżają, by nie cierpił człowiek. Natomiast we wszystkich kinach przy młodzieżowym filmie idzie o polowanie na ciętrzątkę. Myślili bezbożnie, zabijając ptaki w chwili ich godów, kiedy są najbardziej bezbronne, a komentator opatrnie tu uważa o pięknie polowania i zdrowej, męskiej rozrywce. Telewizja wycofała się z zapowiedzianej audycji o problemach naukowych, najbardziej dla człowieka waż-

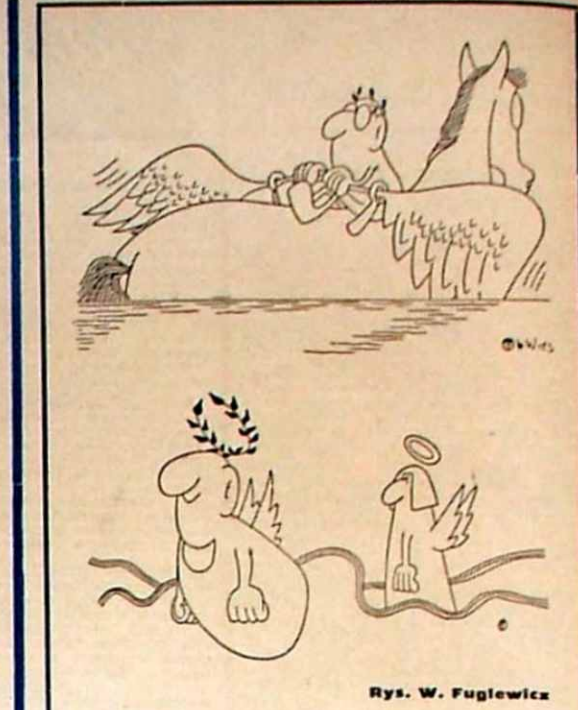
nych, a magazyn i opisów pełne są fotografii i opisów polewań przypominających bardziej rasę niż sport.

Telewizja poprzedziła zamiar nadania swej audycji o przeszeptach zapowiedzią, że nie powinna być oglądać dzieci poniżej szesnastu lat i ludzie o słabych nerwach. Być może, że ta zapowiedź wywołała taką falę protestów Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt. Ale ile filmów idzie w telewizji i nie w telewizji, choć bardziej niebezpiecznych dla młodzieży niż ta niedozwolona audycja, bez tego ostrzeżenia? Od lat w świetle telewizji przygody Świętego. Oglądają je wszyscy. Ile w nich zbrodni? Ile bijatyk? Jak unikają defilady najgorszych, wypaczonych charakterów?

Święty nikogo jeszcze nie pchnął do protestów. Są natomiast „święci”, którzy widzą niebezpieczeństwo tam, gdzie go nie ma.

Telewizja nie nadała swojej audycji. Do redakcji „Kuriera” naład przychodzi listy od dorosłych ludzi. „Nie dajcie się nabierać z tymi przeszeptami. To zwykła bujda”. A do szpitali przywoła chorych, którzy nie pozwalają sobie zrobić transfuzji krwi.

Ciemni ludzie.  
Ciemni. Ale kto ma ich uczyć?



Rys. W. Fuglewicz

# MINUTA MYŚLENIA

## Perfectum con amore

**C**ZYTAM właśnie „Dzień śmiechu” Jurandota. Tak, dopiero teraz. To „dopiero” to wcale nie sumitowanie się wobec posagowości dzieła, ale bądź co bądź dwa lata od jego ukazania się już minęły. Powróciło do mnie prawem nie ważnym, ale jakże urzekającym nawrotów, ale wstępnym nurt w strumieniu leśnym.

Ta wygodna, nie wymagająca literatura pamiętnikarska, smakuje jak obiad jedzony w kuchni. O, nie, proszę się ze mnie nie śmiać! Właśnie chciałem powiedzieć, że wyczuwam w niej pewną charakterystycznie filozoficzną ingrediencję i Państwu proponuję ją wykryć. Jakis śmiech, jakieś gest, jakiś szep, jakiś dźwięk, już zawsze znieruchomie, pod tchnieniem temporis perfecti — czyż nie wspaniały to ogród dla tego trochę zaciągniętego smutkiem, dojrzalego jak jesiń spaceru pamięci? Toż Tuwim nawet do utrapionej w szkole „Gallia est omnis diuisa” — skoczonym wzruszeniem wrócił w dorosłym wierszu. Cóż dopiero otrzymać od Jurandota ten sztabuch warszawki, piosenki, ordekni, które nigdy nie groziły dwójka z laciną. Przeciwnie: pomagały o niej od czasu do czasu zapominąć.

Bardzo prawdziwość czasu i wrażliwość. Przeciwnie Kazimierza Krąkowskiego przed wojną w ogołce nie widziałem, ale dziś choć by nie wiem jak popularny, często oglądany „Łopkę” na zawsze dla mnie zostanie postacią z dru-

giego, trzeciego dziesiątka lat bieżącego wieku. W kontekście damskiego kapelusza à la obryzm kielich dzwonka leśnego. Getrów, nie wiem dlaczego uznanych za dodające rytmu męskiej sylwetce. A na przykład uderzamy w klawisze o tonacji „Dym zierpka, by nie cierpił człowiek. Natomiast we wszystkich kinach przy młodzieżowym filmie idzie o polowanie na ciętrzątkę. Myślili bezbożnie, zabijając ptaki w chwili ich godów, kiedy są najbardziej bezbronne, a komentator opatrnie tu uważa o pięknie polowania i zdrowej, męskiej rozrywce. Telewizja wycofała się z zapowiedzianej audycji o problemach naukowych, najbardziej dla człowieka waż-

Tragiczne „nie”. Never more. W gruncie rzeczy epoki obyczają się wzajemnie nieprzekładalne. Jedną drogą uchwylić może tylko w krzywym zwierciadle karykatury. Mówię to z sentymentalną leką w karku, ale nie bez ostrzeżeń dla mody dzisiejszej, która skrywienie ust od swej następczyni otrzyma jeszcze szybciej, niż Smorsarska od szalowego kociaka 1967.

Smak przelotny. Smaczek przeszłości. To wcale nie skapaniały pasek. To poszanowanie tych śladów, które w swym pochodzie czyni samo życie. Dlatego zawsze z wewnętrznym o-

krzykiem zaciekania, witać wiadomości o postępie w realizacji idei muzeum Czechowicza. Dobrze, że jakaś obszerniejsza skrzynia na literacką i kulturalną przeszłość lubelską znalazła się w naszym mieście.

Ale nie tylko o kulturalna bym się dopominał. Przecież kiedyś Krakowskie było wybrukowane kocimi łbami. Przecież kiedyś latarnie uliczne były oświetlane gazem i każda przy zapalaniu otwierała się jak pląskająca dźwiękiem. Przecież na Placu Wolności stała majestatyczna, podobna do szachowej wieża cisnień, No tak, muzeum. No tak, Kolo Przyjaciół Lublina. Ale wyjdzie mi się, że wszystkie te archiwalne lublińskie najpiękniej się znajdują w poświęceniu pamięci. Jakaś dźwięk ziemi lubelskiej dodał autor „nuty człowieczej”.

I proszę. Od kabaretu „Qui pro quo” przeszedłem do Józefa Czechowicza. A pomyśleć, że są ludzie, którzy lekce sobie wazą „drugorzędna”, „do poduszki” literaturę pamiętnikarską.

# NOTY I notki

„Z DZIENNIKA KATECHETY” — to jedna z pozycji, którą znaleźliśmy w 6 n-rze „Tygodnika Powszechnego”. Katecheta zali się: „Niedziela, godzina 17. Zebranie rodziców... Na zebraniu rodziców — jedna osoba... W telewizji o godzinie 17 było spotkanie z aktorem Lapickim, a w miejscowym kinie „Trzej muskietierowie”. W innym miejscu katecheta cytuje formozę z matkami: „Nie chciałem księdzu o tym mówić, ale powiem. Córka w zeszłym roku odpowiedziała mi tak: teraz chodzę na religię i do kościoła, lecz później, jak dorosnę, nie będę”. Inna z matek: „Przechodziłam z córką kolo kościoła i zaproponowałam jej, abyśmy wstąpiły na pacierz. I tak ci się nie uda zrobić ze mnie katolicką — odpowiedziała”.

„Co o tym myśleć? — snuje rozważania katecheta. — Przekora, najbardziej widoczna w tym okresie”. A może ów okres to prosto druga połowa XX wieku?

JAKIE MAMY w Polsce talenty do rysunków comikowych! Heł tych talentów się marnuje! Te smętne myśli nasunęły mi się po obejrzeniu rozkładówki w 1132 n-rze „Przekroju”. Jak zwykle, pomysłowy „Przekrój” lansuje nowe hasło „Bądź słowny”. Czytelnicy nadsyłają rysunki mające to hasło ilustrować. Obawiam się jednak, że mogą one przynieść skutek wprost odwrotny!

# BIG-BEAT

## Jak tracić dziewictwo?

**P**ANIE Redaktorze, błagam: proszę nie zmieniać tego tytułu. Przypisałem go w dosłownym brzmieniu z miesięcznika „Student”. Wychodzi to w Krakowie, jako organ ZSP. Zaują, że tylko dwa razy w ciągu roku, bo lektura „Studenta” smakuje jak owoc z zakazanego drzewa.

Kiedyś KTT napisał w „Kulturze” jakiegoś reportera „Dziennika Polskiego” za to, że ten przedstawił środowisko krakowskiej studenterii w świetle nader entymium. Po przeczytaniu czwartego numeru „Studenta” dochodzę do wniosku, iż ów reporter opowiadał bajki z tyśiącia i jednej nocy.

Ale ad rem, czyli ludziem, panie Zielenka. Jazdź i cytuj! „W jednym z domów akademickich dziewczęta zorganizowały punkt usługowy dla panów. Poinicę, jednak nie wystarzały się o zezwolenie na legitymne prowadzenie placówki, w interes ukroczyła MO”.

To był cyt z felietonu niejakiego p. Siedziennika. „W Ośrodku Studenckim działa radiowęzeł. Dużo popularności cieszy się koncert żyćzeń. Teksty

żyćzeń, zwłaszcza studentów do studentek, są tak liczno-placziwo-sentymentalne, że zapładzić mogą jednie o impetach psychologicznej ich autorów. A skoro jest tak, to nie tam, panowie, nie pomoże. Dziewczęta chcą mieć mężczyzn, a nie placzki. Powinny być sentymentalizm, są jednak w jakirakwej sprzeczności z „męską” literaturą, panoszącą się to „Zacisłanku”, gdzie studentki na papieroczkach puszczają pod salę, samolotach pomieszczają pod adresem swoich koleżanek wierzania treści typu: „Czy oddasz mi się?”, „Jestem dobry, wypróbuj mnie!”.

To był cyt z informacji (zjadliwej) p. T. D. „Bytuacje w studenckich klubach?...” Część z was uczestniczy tam w ciekawych imprezach, ale spora część „odsiada”, i to wyłącznie nie na imprezach. W czasie imprez wychodzą. To są ci, co „trzymają dyszt”. Znacnie ich, prawdziwa! Styszałicie ich opowieści o „dolech wita”? O przyuczkach, imieninach, „orgielkach”? Widujecie ich codziennie, znacie ich sylwetki, hysteryjny, ich „sportowe” dżentelnie do użytku maksimum dowoludzeń tego rodzaju, by mogli dalej snuć swe o-powieści tchnące „prawdziwym rajem swobodą seksualnych”.

To był cyt z artykułu p. D. Terakowskiej. „W „Gnoju” (to nazwa klubu) atmosfera jest swobodna i nie skrepowana niczym. Dziewczęta zjadają rzadkiem pod jedną ścianą, chłopcy pod drugą i upatrują, która by tu uciąć do tańca. W „Gnoju” najłatwiej i najprościej podawać dziewczęta „na chatę”. Potem wystarczy odprawać ją do drzwi akademika, powiedzieć „ciało!” — i sprawa zakończona. Wielkie pole do popisu mają tu „doleńcownicy”, ich wymagania są, jak wiadomo, niewielkie, chodzi przecież o ilość. „Jakosiłowcom” z trudem przychodzi znaleźć dziewczęta, z którą po przetrzaśnięciu dwóch czy

trzech kawalków jakiegoś bigbitu miotaby się ochotę jeszcze trochę porozmawiać”.

To był cyt z artykułu p. Aleksandry Dubiel. Niech Pan teraz powie, Panie Redaktorze, kiedy ci krakowscy studenci mają czuć na naukę? Zwłaszcza, że niektórzy z waszym wyżej, trudnią się również poetyckim rzemiosłem. „Student” zamieścił wiersz p. Krzysztofa W. Krzozowskiego pt. „Polowanie”. W utworze mowa o kocie, którego autor zamordował bawując się wiatrówką!

W mordzie miał łakomość szczególną a dla mnie w ślepiach spojzenie po którym raczej drałem go pijąc po tym w łazience kieliszek neruosotlu. Chyba trzeba byto wybrać się z nim do lasu gdzie rozzerwałibyśmy na strzępy byka wielkorogiego.

Co to za byk wielkorogi? Jezus, Maria, było nie lubi! A może to nie był kieliszek neruosotlu, ale rodzimej lubrowieczki? „Student” ze specjalną pasją atakuje jakiegoś krakowskiego pracownika PAP-u, czyli Polskiej Agencji Prasowej. Cytujem:

„Kraży po środowisku studentem taki wyjątkowy student, który posiada dar wartościowania ludzi. Ponieważ jednak rozumuje on — ludzie na ogół mało wari jak całość, wobec tego prof. X też jest zerem, a Y idiotą, wysoki urzędnik pęgnstwo to kretyn, asystent B — dno, a dyr. K. — zwykły ch. O. C. stracił nie mówić — bo to debil. Zresztą wszyscy to banda... Wypój wspomniany student, dzięki swym uwarom intelektualnym, został przechwycony przez krakowski oddział PAP”.

Tyle p. Siedziennik, o którym już była mowa. Ale to nie ko-

niec pomyj wylanych na głowę owego studenta przyholubionego przez PAP. Na ostatniej stronie znów napowięcono dwie zgrzyliwe notki. Czyżby z zadłości W kraju są ludzie, nawet bardzo młodzi, zazdrożący dżeleni-karżom z PAP-u?

A przecież redakcja „Studenta” mogłaby się od PAP-u jednego nauczyć: sprawdzania materiału po przepisaniu go na maszynie. Wówczas nie popielniby gafy, która powinna przejść do historii potknięć prasy polskiej.

W numerze czwartym „Studenta” zamieszczono sprostowanie tej treści:

„W numerze 3 „Studenta” ukazał się artykuł polemiczny Wł. Rydzewskiego „Zaangażowanie, fikcja czy konieczność” i replika nań J. Lipca. „A jednak trzeba się uczyć”. Ale J. Lipca o party został oświecony na następującym zdaniu z artykułu Wł. Rydzewskiego: „Trudno zgodzić się ze stwierdzeniem, że nasza ideologia jest — mówiąc językiem Marksa i Brzozowskiego — ideologią pracy” (cyt. z artykułu J. Lipca). Zdanie to zostało w trakcie przepisywania w Redakcji przekształcone i powinno brzmieć: „Trudno nie zgodzić się...”. W związku z powyższym uważamy replikę J. Lipca za nieaktualną, a Wł. Rydzewskiego bardzo przeprosimy za nieporozumienie. REDAKCJA”.

Ja też bardzo Pana Redaktora przeproszam za nieporozumienie, jakim jest ów felieton. Nieporozumienie wynika stąd, że bardzo lubię tego krakowskiego „Studenta”, w którym przecież czasem znaję i wartościową pozycję. Sądzę jednak, że po wydaniu czwartego numeru czas już stracić... dziewczęta i wyjść z... „Zacisłanku”. Inaczej uduśli się zespół redakcyjny (dlaczego anonimowy?), uduśnią się czytelnicy. Amen.

# MAJ

## POSTE-RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste-Restante posiada znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste-Restante honorarium nie płacimy.

Dziś publikujemy utwory o miłości. Niezbyt wesołe, ale zakochani często nie kroczą po różach!

„Kama” pisze:

Powracanie z daleka do pamięci oczu. W cieniu głowy na ścianie zrozumiem siebie. Gorycz szkicu bez złudzeń. Ucieczka Na zawsze. Zegnaj. Nigdy nie wrócę. I nagle rzesz drżenie. Uśmiech na pół żalony Niedopracie własny Jak zapach włosów rozwiewanych wiatrem. „Na zawsze”. „Zegnaj”. Powroty układkiem. W kręte aleje listów niepisanych. Powracanie przez pustkę do pamięci głosu wbrew sobie. Zawsze.

A oto utwór p. Elżbiety J. z Józefowa:

„WSPOMNIENIE”

Byliśmy z sobą blisko, potem minęło wszystko. Kto winien: ja czy ty — były tylko trzy. Nie będę Cię błagała, lecz słuchaj — prosba mała. Napisz list kilka słów, że może wrócisz znów. Czemuś o mnie zapomniał w tę noc straszną i złą. Czemuś nigdy nie wspomnił, że ta miłość jest grą...

Dla odmiany utwór p. Henryka S. z Lubartowa:

Świtasz mi w głowie jak ranne słońce Swoim promieniem rozganiasz chmurę Co nad mym sercem posłały łóżeczko i poroibly nieprzystępne góry.

To tylko twój promień zdolny był Rozniecić we mnie żayłość. Jakis nowy duch serca się ożył — Ja nie wiem — a może to miłość.

I na zakończenie coś z twórczości Fońka z Rzeszowa:

„ZAGUBIONY”

Poznaliśmy się na balu W styczniowy wieczór zimny. Siedzieliśmy długo w hallu, Twój wzrok pamiętam intymny. Po raz pierwszy w życiu Czulem się dziwnie mały. Śmiejące się Twoje oczy Oddech mi odebrały. Dlaczego dziś Cię tu nie ma? Cierpienia przydadiesz sercu Ach, gdybym ja ten poemat mógł skończyć na... ślubnym kobiercu!

# Odpowiedzi redakcji

D. Ch. w Małym Płosku. Smutni są bohaterowie Twego wiersza: „Ulicą wędrują samotni bitlesi / włosy czesane tak samo. / Idą ulicą, idą śpiewają / gitara w rękach wesoło brzmi / Wiatr w takcie się kołysze, / ptaszki świergoe w tan. / A bitlesi wciąż idą i idą / i smętne palcami przebiegają struny gitary”. Masz jednak, Danusiu, dopiero lat jedenaście, a więc cały świat przed Tobą!

S. U. w Popielówku. Jeśli jest Pan czytelnikiem „Kamenu”, powinien Pan zauważyć, iż redakcja nie zwraca nie zamówionych materiałów. Nadesłane utwory wydają nam się nierówne. Ale sam Pan pisze: „Nie pragnę spłowego dźwięku, / ani greckiego wieńca. / Na nie mi sławy głośno wybuchy. / Pragnę mówić tylko tobie / cicho, cichutko sennie / mojej”. Prosimy odesłać się po pewnym czasie.

„C. P. niecierpliw”. Pyta Pan: „Czy warto próbować dalej?”. Z nadesłanych wierszy drukujemy w tym miejscu „Tydzień”: „Świat nowy wstaje, cągła / przemiana materii czasu. / Poniedziałek, galaj złamana / zrasła się, gola, w sznurze / z początku, wdziewam kufajkę. / Wtorek, wnętrzości całej / roboty wyląd / w wierzch, / stragan się stawiła, / broda ukradkiem doglądam czasu, / nie nie uronić, pchać ciężki / wózek, w czwartek wychodzi / kultura i życie, / lubię je / czytać, sąsz z wolnej ręki / westchnięć śmieszne, obłany / wsiatkciem, plątek, zamknięty / człowieczy, dziki, zabobon w kaszu / z sobotą schodzi pancera / z materii, czuje się kotem / wolny od cienia w biały / kostali wchodzi w niedzię / i / nad twardą dionią, chowany w pięcie, rąbek uciechy / wygląda ptakiem”. Wątpliwości nie mamy. Nie warto pisać jak kot pazurem.

Ina i Bożena z Lisowa przysłały list do Redakcji następującej treści: „Droga Redakcjo! Chodziliśmy do szkoły podstawowej i ukończyliśmy lat 14. Od dwóch miesięcy postanowiliśmy napisać książkę o dawnym życiu Indian i ich postępowaniem z białymi. Początek napisaliśmy, chodzi nam tylko o stwierdzenie faktów czy mamy szanse dalszego pisania historii dzikiego plemienia które żeśmy wybrali. Temat do książki wybieramy z wyobrażeń i pomocy jest nam przy tym słownik z indiańskimi wyrazami. I w pewnym sensie encyklopedia. My i nasze koleżanki uważamy swą pracę jako modliwa. Nie wiemy jak osądzi to redakcja „Kamenu”, i pytamy czy mamy posłać początkowy fragment czy też któryś inny...” Po tak poważnym liście trudno nam odpowiadać niepowiadać. Mamy przecież w naszym piśmie specjalną rubrykę „Proste Restante”, możecie więc zaryzykować. Przy pisaniu Waszej powieści o dawnym życiu Indian nie lekceważcie jednak ortografii!

G. C. w Radomiu. „Groźna noc” przeczytaliśmy, niestety, praca nie ma wartości literackich. Przy lekturze często opowiadania (?) nie odczuwaliśmy grozy, którą musiała Pani zoczywać tej nocy czytając, jeśli rzecz jest autentyczna. Podziwiamy.

H. Ch. w Białymstoku. „Dlaczego nie chcesz tak jak dawniej / Obiehdzić staw ten dookoła, / Postruchać muzyki pradawnej, / Postruchać co uczucie wola?... / Proszę, bądź znów przy mnie blisko / / Nabierz sensu wtedy wszystko...” — apeluje Pan w swoim utworze. Na pytanie „dlaczego” — trudno nam odpowiedzieć, jesteśmy jednak w 100 procentach przekonani, że żaden z nadesłanych wierszy nie nadaje się do druku.

**TYLKO DO 10 MARCA**  
**„Ruch” i poczta przyjmują**  
**prenumeratę „Kamenu”**  
**na II kwartał b.r.**